

Powiat



Nr 3-4 (181-182), Marzec-Kwiecień 2016
Rok XVI * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Strachy z cienkiej blachy?

Spóźnione powroty

Niewolnice miłości

Bełkot dla szpanu?

Zginą pszczoły – zginie życie

Roztańczone gospodynie

Twórca uniwersalny

Ku pamięci Żołnierzy Niezłomnych

Wieś Tworząca



XIII TURNIEJ KÓŁ GOSPODYŃ WIEJSKICH WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

JEZIERZYCE, KWIECIEŃ 2016





**ZDZISŁAW
KOŁODZIEJSKI**
Starosta Słupski

Powiat



SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

Znane są już wyniki raportu przygotowanego przez Agencję Rozwoju Regionalnego S.A. w Gdańsku, z którego dowiadujemy się, ile region słupski straci w związku z funkcjonowaniem amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Redzikowie.

Jak stwierdzili analitycy - szacunkowa wielkość utraconych korzyści, to 2,8 miliarda złotych. Natomiast korzyści, które wygeneruje tarcza, to 0,9 miliarda złotych. Strata została wyliczona w oparciu o aktualne parametry makro i mikroekonomiczne i rozkłada się w czasie kolej-

nych 25 lat, to jest do 2042 roku, do kiedy przewidziano funkcjonowanie amerykańskiej tarczy.

Największą stratą jest brak możliwości przekształcenia terenu przeznaczonego pod budowę tarczy na grunty inwestycyjne. Oszacowano, że region straci z tego powodu ponad 2 mld złotych. Drugim negatywnym czynnikiem są ograniczenia inwestycyjne w promieniu 35 kilometrów od bazy - to kolejne 500 mln złotych.

Jest jeszcze utrata możliwości inwestowania w elektrownie wiatrowe oraz rezygnacja jednego z przedsiębiorców, który z powodu sąsiedz-

twa tarczy wstrzymał inwestycję pod Słupskiem za 34 miliony złotych.

Wyliczone korzyści z tarczy to, poza oczywiście bezpieczeństwem, przede wszystkim wydatki żołnierzy USA w regionie, wydatki związane z funkcjonowaniem bazy i jej budową. Wyniki raportu jednoznacznie dowodzą, że czynione przez lokalne samorządy od 2008 roku starania o rekompensaty za lokalizację w regionie słupskim tarczy są jak najbardziej uzasadnione. Mają swój wymiar ekonomiczny.

Raport prześlemy teraz do premier Beaty Szydło i liczymy, że

pomoże on zakończyć starania samorządów o rekompensaty związane z budową tarczy. Przypomnę, że oczekiwania dotyczą m.in. środków na przebudowę drogi krajowej nr 21 na odcinku od Słupska do Ustki, wsparcia na przebudowę i remonty dróg powiatowych, komplementarnych wobec planowanego przebiegu drogi ekspresowej S6, rewitalizacji linii kolejowej 202 (Gdynia-Słupsk) i 405 (Ustka-Szczecinek), przebudowy wejścia do Portu Morskiego w Ustce i pomocy w pozyskaniu strategicznego inwestora dla regionu słupskiego.

W numerze:

- 2 Mistrz Bezpieczeństwa Informacji
- 2 Drogi wizytówką
- 3 Szkoła z sercem
- 3 Wzmocnienie szkolnictwa
- 4 Bogatsza współpraca
- 4 Giełda partnerów
- 4 „Obciach” w Kobylnicy
- 5 Święto patrona
- 5 Porywający Śląsk
- 5 Pieszcy w odlasku
- 6 Strachy z cieniej blachy?



11 i 12 kwietnia dwa, na szczęście, nieuzbrojone samoloty rosyjskie doprowadziły do kolejnej prowokacji, tym razem na większą skalę[...]

- 7 Niszczyciel robi wrażenie
- 9 Spóźnione powroty



W Kazachstanie jeszcze żyje 34 tysiące osób, które w swoich dokumentach mają wpisaną narodowość polską.

- 11 Miejsce kobiet
- 12 Niewolnice miłości



Kobietom powtarza się ciągle, że są stworzone do miłości, że to ona dla nich najważniejsza, że tylko ona się liczy. Ale co to właściwie znaczy?

- 14 Betkot dla szpanu?



Czy akcyjne działania społeczne, nawet samego prezydenta wystarczą na napór wulgarności,

ułomnego pokrętnego anglo-słownictwa i slangu młodzieżowego?

- 17 Najlepszą nagrodą jest radość podopiecznych
- 18 Zginą pszczoły – zginie życie



Prof. Jerzy Wilde, kierownik Katedry Pszczelnictwa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie twierdzi, że licznik ginących pszczoł w Polsce ostatnio wykazuje liczbę 105 na sekundę i idzie już w miliony.

- 21 „Kaziuczek Niemeczyński”
- 22 Krajoznawstwo słupskie
- 24 Roztańczone gospodynie



Koło Gospodyń Wiejskich z gminy Bobowo w powiecie starogardzkim zwyciężyło w XIII Turnieju Kół Gospodyń Wiejskich Województwa Pomorskiego.



- 26 Czytelnictwo w mrocznych latach i internet
- 28 Na środku stało biurko dla nauczyciela
- 30 Twórca uniwersalny



Będąc w nowym miejscu zawsze staram się zobaczyć to co jest najciekawsze. Zwykle to fotografuję, co pozwala mi później czerpać inspirację do dalszej twórczości.

- 32 Profesjonalista najwyższego lotu
 - 34 Ku pamięci Żołnierzy Niezłomnych
- Wyruszając samochodem przed południem 1 marca br. z Gdańska do Choczewa,



- 37 Jak podróżować

To, co w potocznym języku nazywamy wycieczką, w prawie określone jest jako impreza turystyczna.

- 40 Aktywnie na wiosnę!

Mistrz Bezpieczeństwa Informacji

Miłym akcentem, bo wręceniem pucharów za zajęcie pierwszego miejsca przez słupskie starostwo w rankingu „Mistrz Bezpieczeństwa Informacji” w 2015 roku rozpoczęła się marcowa, XVI sesja Rady Powiatu Słupskiego. Tak wysokie wyróżnienie starostwo otrzymało od Kolegium Audytorskiego Fundacji Polkom Audit Consulting Group z Łodzi, która opracowała ranking.

Radni przyjęli sprawozdania - o stanie bezpieczeństwa publicznego i stanie bezpieczeństwa pożarowego na terenie powiatu słupskiego za 2015 rok. Zapoznali się także z informacją o realizacji zadań wynikających z powiatowego programu zapobiegania przestępczości oraz porządku publicznego i bezpieczeństwa obywateli, informacją starosty z prac Komisji Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego za 2015 rok.

Radni podjęli uchwałę o przyjęciu Lokalnego programu wspierania uzdolnień w powiecie słupskim. Jego celem jest wspieranie rozwoju zainteresowań uczniów i podnoszenie poziomu ich kształcenia. Pro-

gram skierowany jest zarówno do uczniów gimnazjów, jak i szkół ponadgimnazjalnych - mieszkańców powiatu słupskiego. Obejmuje też uczniów klas pierwszych innych powiatów, którzy podjęli naukę w szkołach ponadgimnazjalnych prowadzonych przez powiat słupski.

Radni przyjęli program działań na rzecz osób niepełnosprawnych w powiecie słupskim na lata 2016 - 2018, zgodzili się na podpisanie porozumienia o zasadach realizacji projektów partnerskich w ramach Miejskiego Obszaru Funkcjonalnego Słupska, pełnienie przez Słupsk funkcji lidera tego obszaru, a także na udzielenie dotacji celowej na współfinansowanie kosztów Biura MOF - w wysokości 2,8 tys. zł.

Przyjęli pomoc finansową (7 tys. zł) od samorządu usteckiego na organizację Festiwalu Filmu Amatorskich UFF(o)A 2016 oraz Pomorskiego Biegu Niepodległości. Zmienili uchwałę nr IX/77/2015 Rady Powiatu Słup-

skiego z 29 czerwca 2015 roku o wyrażeniu woli zawarcia umowy pomiędzy gminą Słupsk, a miastem Ustka, gminą Ustka, miastem Słupsk i gminą Kobylnica oraz powiatem słupskim dotyczącej wspólnego opracowania koncepcji rozbudowy drogi krajowej nr 21 z uwzględnieniem budowy ciągu pieszo-rowerowego oraz uzyskaniem decyzji środowiskowej” i udzielenia dotacji na dofinansowanie realizacji zadania objętego umową. Zmiana polegała na upoważnieniu Zarządu Powiatu Słupskiego do zwarcia umowy dotyczącej realizacji tego zadania i dokonywania w niej zmian.

Radni podjęli uchwałę umożliwiającą aplikowanie o środki z Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na przebudowę drogi powiatowej nr 1120G na odcinku od granicy miejscowości Wysoka do granicy gminy Smóldzino. Koszt to ponad 4,2 mln zł, powiat będzie ubiegał się o dofinansowanie w wysokości 63 proc. tej kwoty.

Radni poparli obywatelską inicjatywę Stowarzyszenia Pasa-

żerów Kolejowych „Siemianice” (podpisało się pod nią ponad 3 tysiące mieszkańców) utworzenia przystanku kolejowego w Siemianicach, modernizacji przystanków kolejowych w Kobylnicy i Jezierzycach oraz przyjęcia wariantu modernizacji linii kolejowej 202 z drugim torem na odcinku od Słupska do Gdyni. Zgodzili się na zawarcie umowy na opracowanie raportu utraconych korzyści związanych z instalacją tarczy antyrakietowej w Redzikowie. Przygotuje go Agencja Rozwoju Pomorza S.A z Gdańska. Raport ma pomóc samorządom w prowadzonych rozmowach z administracją rządową na temat rekompensat związanych z lokalizacją tarczy w Redzikowie.

Radni zgodzili się też na nawiązanie partnerskiej współpracy z Państwową Administracją Rejonu Rożyszcze i Rejonową Radą Rejonu Rożyszcze w obwodzie wołyńskim na Ukrainie. We wrześniu ub. roku wpłynęła do słupskiego starostwa pisemna deklaracja nawiązania takiej współpracy. (PL)



Drogi wizytówką

Kwietniowa sesja Rady Powiatu Słupskiego, XVII już na początku wywołała wiele emocji zgłoszonymi pytaniami radnych, dotyczącymi remontów dróg.

Radni zapoznali się ze sprawozdaniem o stanie sanitarno-weterynaryjnym i sprawozdaniem o stanie bezpieczeństwa sanitarnego na terenie powiatu słupskiego za 2015 rok. Przyjęli też sprawozdanie z realizacji programu współpracy powiatu słupskiego z organizacjami pozarządowymi za 2015 rok. Uchwalili program promocji zatrudnienia i aktywizacji lokalnego rynku pracy na lata 2016 - 2020, zatwierdzili do realizacji w bieżącym roku program profilaktyki zakażeń

HCV, obejmujący przeprowadzenie badań przesiewowych krwi na obecność przeciwciał anty-HCV. Będzie on kontynuacją takiego samego programu realizowanego w latach 2014 i 2015. Na 1584 wykonane badania u mieszkańców powiatu w wieku 19 - 64 lata, u 19 osób stwierdzono wynik dodatni. Wynik ten jest bliski szacunkom ekspertów, którzy określają liczbę zakażonych w naszym kraju na 730 tys. osób, czyli 1,9

proc. populacji. Osoby z powiatu, u których stwierdzono taki wynik korzystały z drobnych zabiegów medycznych, zastrzyków i w ocenie ryzyka wskazały zabiegi operacyjne oraz pobyty w szpitalu.

Radni zgodzili się na dokonanie przez powiat słupski darowizny nieruchomości, tzw. czerwonej szopy w Ustce dla województwa pomorskiego. W interpelacjach i zapytaniach upominali się o naprawę

wielu odcinków dróg, nie tylko powiatowych. Wiele emocji wzbudził zgłaszany już wcześniej do remontu odcinek drogi pod wiaduktem w Damnicy, a także odcinek drogi wojewódzkiej w Pobłociu, którego nawierzchnia składa się z samych łat i dziur, a w sezonie letnim będzie to wizytówka nie tylko powiatu, ale również województwa pomorskiego, odwiedzanego przez wielu krajowych i zagranicznych turystów. (AK)



Fot. J. Maziejuk

Szkoła z sercem

„Szkoła w Bierkowie jest wspieranym centrum i bijącym sercem prawdziwej społecznej rodziny” – napisał były premier Jarosław Kalinowski w szkolnej kronice.

16 kwietnia w Bierkowie świętowano Dzień Patrona Szkoły. Na uroczystości przyjechał sam były premier, poseł do Parlamentu Europejskiego – Jarosław Kalinowski. Sztandar szkoły udekorował Medalem im. Wincentego Witosa. Dyrektorka Grażyna Rożnowska

otrzymała Medal Złotej Koniczynki. W swym wystąpieniu podkreśliła, że „sztandar jest darem serca mieszkańców i społeczności lokalnej”. Imię Wincentego Witosa szkoła nosi od 1987 roku, do tak zaszczytnych wyróżnień zgłosił ją starosta ślupski. W szkole w sposób wyjątkowy łączy się tradycje z nowoczesnością. Od kilku już lat realizowana jest innowacja pedagogiczna „Dziedzictwo kulturowe w regionie – Kraina w kratę – moją Małą Ojczyzną”. Szkoła posiada unikatową kolekcję modeli chat szachulcowych wykonanych przez uczniów i ich rodziny. Makiety zachwycają pomysłowością wykonania i są pięknym elementem szkolnych wystaw.

Uroczystość udekorowania sztandaru poprzedziła wzniosła chwila powitania chlebem w progach szkoły głównego gościa. Następnie złożono kwiaty pod pamiątkową tablicą Wincentego Witosa, ufundowaną i osobiście odsłoniętą w 2000 roku przez J. Kalinowskiego. Dla b. premiera był to więc sentymentalny powrót do Bierkowa. Wtedy w kronice szkoły napisał: „Dzielcie serca jak chleb”. Jak zapewniała dyrektorka G. Rożnowska to przesłanie w bierkowskiej szkole jest cały czas aktualne. Uroczystość miała wyjątkową oprawę. Dzieci rozczuliły serca zgromadzonych

gości śpiewem, tańcem, recytacją wierszy oraz grą na gitarach. Rozstrzygnięto ósmą edycję szkolnego konkursu wiedzy o patronie szkoły. Wyróżnieni uczniowie otrzymali nagrody.

Należy podkreślić, że Szkoła Podstawowa w Bierkowie buduje mocne więzi międzypokoleniowe. Tu realizowany jest też autorski projekt pn. „Szkolne Centrum Wspierania Rozwoju Małego Dziecka i Jego Rodziny”. Tematyczne spotkania nauczycieli, rodziców dzieci uczęszczających do szkoły, ich rodzeństwa oraz babć i dziadków są już wieloletnią tradycją. Miejscowi twórcy i inni mieszkańcy Bierkowa zarażeni pasjami współuczestniczą w pracy szkoły. Dzięki temu uczniowie rozbudzają własne zainteresowania twórczością.

- Bierkowska szkoła to także „Cyfrowa Szkoła z Klasą” o wyraźnej i rozpoznawalnej tożsamości regionalnej. Pielęgnowanie u nas dorobku pokoleń idzie w parze z postępem na miarę XXI wieku – mówi dyrektorka G. Rożnowska. - W czerwcu rozpoczniemy rozbudowę szkoły. Powstanie gimnazjum. Nutą łączącą działania edukacyjne w obu placówkach będzie na pewno regionalizm i dziedzictwo kulturowe w regionie. To dobrze, że będziemy mieli takie szkoły w naszej „Krainie w kratę”. (ZZ)

Wzmocnienie szkolnictwa

Marszałkowie województwa pomorskiego – Mieczysław Struk, Krzysztof Trawicki i wojewoda pomorski Dariusz Drelich wręczyli starostom i prezydentom miast na prawach powiatu podjętą przez Zarząd Województwa Pomorskiego uchwałę w sprawie „Kształtowania sieci ponadgimnazjalnych szkół zawodowych, uwzględniającej potrzeby rynku pracy”. Jest ona „przepustką” do otrzymania przez powiaty i miasta dofinansowania ze środków

Unii Europejskiej na wzmocnienie szkolnictwa zawodowego.

Uchwałę otrzymały organy prowadzące szkoły zawodowe, które uczestniczyły w otwartym konkursie zorganizowanym przez Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego. Finansowe wsparcie, którego źródłem będzie Regionalny Program Operacyjny dla Województwa Pomorskiego na lata 2014 - 2020, przewidziane jest tylko dla tych szkół, które prowadzą lub planują prowadzić kształcenie w zawodach odpowiadających branżom klu-

czowym, tj. takim, które odznaczają się największym potencjałem rozwoju lokalnego i będą gwarantować miejsca pracy dla przyszłych absolwentów szkół zawodowych.

Uchwałę odebrał także starosta ślupski Zdzisław Kołodziejski. Powiat ślupski ma zagwarantowane wsparcie w wysokości prawie dwóch milionów złotych dla Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku (na kształcenie w branżach: turystyka, sport i rekreacja, chemia lekka i środowisko) oraz Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce (na kształcenie w branży turystyka sport i rekreacja). Ucznio-

wie tych dwóch zespołów szkół skorzystają m.in. z dodatkowych praktyk i staży zawodowych. W szkołach tych rozwijane będzie kształcenie ustawiczne.

W Zespole Szkół Agrotechnicznych zmodernizowane zostaną pomieszczenia i utworzona zostanie nowoczesna pracownia gastronomiczna z pełnym wyposażeniem.

W obu zespołach doposażone zostaną pracownie dla kształcenia praktycznego. Deklarowane wsparcie finansowe to 1 952 295,00 zł, w tym ponad 1,4 mln zł ma być przeznaczonych na inwestycje, wyposażenie szkół i rozwój kształcenia ustawicznego. (PL)

Bogatsza współpraca

W dniach 8-10 kwietnia br. przedstawiciele Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej z Włynkowa – prezes dh Grzegorz Szcześniak i wiceprezes dh Aldona Szostakiewicz oraz komendant Związku Ochotniczych Straży Pożarnych Gminy Słupsk Andrzej Matyszka przebywali z wizytą u strażaków Jugend Feuerwehr Nüsse, w Niemczech.

Powód wizyty to planowana na lipiec br. projekt wymiany młodzieżowych drużyn pożarniczych pod hasłem „Młodzieżowa straż pożarna bez granic”, który będzie pierwszym projektem przeprowadzanym w ramach nowego partnerstwa pomiędzy strażakami z powiatu słupskiego i powiatu Herzogtum Lauenburg.

Podczas weekendowego spotkania strażacy z gminy Słupsk uzgodnili szczegółowy program wakacyjnej wymiany młodych strażaków, a także uczestniczyli w ćwiczeniach OSP Nüsse, zwiedzili Mölln i Hamburg.

Zawiązanie nowego międzynarodowego partnerstwa pomiędzy strażakami odbyło się z



inicjatywy starosty słupskiego Zdzisława Kołodziejskiego, który w marcu br. zaprosił przedstawicieli różnych instytucji z powiatu Herzogtum Lauenburg zainteresowanych rozpoczęciem współpracy polsko-niemieckiej z in-

stytucjami o podobnym profilu z powiatu słupskiego, do udziału w projekcie „Giełda partnerów - Spójrz w przyszłość” przeprowadzanym w Ustce przez Oddział Promocji i Współpracy słupskiego starostwa. (AK)

Giełda partnerów

W Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapii w Ustce odbyła się giełda partnerów wymiany polsko-niemieckiej, połączona z warsztatami dla jej koordynatorów.

Giełdę zorganizowano pod hasłem „Spójrz w przyszłość” w ramach prowadzonej od piętnastu lat partnerskiej współpracy powiatów słupskiego i powiatu Herzogtum Lauenburg w Niemczech. Wzięło w niej udział osiem instytucji z obu powiatów, które w nadchodzących latach chcą uczestniczyć w międzynarodowej wymianie młodzieży.



Fot. A. v. Krasowicki

Powiat słupski reprezentowali: Młodzieżowy Ośrodek Socjoterapii w Ustce, Zespół Szkół w Redzikowie, Ochotnicza Straż Pożarna we Włynkowie i Park

Krajobrazowy „Dolina Słupi”. Celem spotkania było nawiązanie kontaktów z niemieckimi jednostkami o podobnym profilu działania, zgłoszenie propo-

zycji realizacji wspólnych projektów oraz zaprezentowanie metod pracy z młodzieżą.

Delegacja z Niemiec obejrzała m.in. przedstawienie teatralne przygotowane w języku niemieckim przez uczniów Zespołu Szkół w Redzikowie, zwizytowała siedzibę Ochotniczej Straży Pożarnej we Włynkowie i siedzibę Parku Krajobrazowego „Dolina Słupi”.

Spotkanie w Ustce zaowocowało ciekawymi pomysłami na wspólną wymianę młodzieży, w której ze strony niemieckiej uczestniczyć będą m.in. Freiwillige Jugendfeuerwehr Nüsse i Marion-Dönhoff-Gymnasium z Mölln. (AK)

„Obciach” w Kobylnicy

Powiatowy Przegląd Kabaretów „Obciach” jest imprezą wielopokoleniową. Kolejny już raz w Kobylnicy prezentowały się kabarety w trzech kategoriach: dziecięcej, młodzieżowej i dorosłych.

1 kwietnia br. sala teatralna Gminnego Centrum Kultury i Promocji wypełniła się po brzegi: aktorami, ich opiekunami oraz przybyłymi gośćmi. Wystąpiło osiemnaście kabaretów, które reprezentowały: Kobylnicę, Słupsk, Wytowno, Gogolewo, Potęgowo, Smółdzino, Lubuczewo i Miastko. Zaprezentowały się grupy, które mają już duże doświadczenie na scenie oraz te, któ-

re stawiają na niej pierwsze kroki. Wszyscy zostali bardzo życzliwie i ciepło przyjęci przez publiczność.

Jury z udziałem: Grzegorza Gurlacza z Kabaretu DKD i Anny Chodny - piosenkarki z Ustki po obejrzeniu wszystkich występów, w kategorii dziecięcej pierwsze miejsce przyznało kabaretowi „Na opak” z Wytowna, drugie - kabaretowi „Horrorek” z Kobylnicy, a trzecie - teatrykowi „Budrys” z Gogolewa. W kategorii młodzieżowej pierwszego miejsca nie przyznano. Drugie zdobył kabaret „Daleko do celu” ze Słupska, a trzecie - kabaret „Szpilka” z Miastka. Wyróżnienie za kreację aktorską otrzymała Oliwia Leoniak.

W kategorii dorosłych pierwsze miejsce zdobył kabaret „Uśmiechnięty belfer” z Kobylnicy, drugie - kabaret „Echo Objazdy”, a trzecie - kabaret „Epitetem po metaforze” z Lubuczewa. Wyróżnienia za kreacje aktorskie otrzymały: Katarzyna Stola i Alicja Mieliwodzka.

Po raz pierwszy uczestniczyłem w takiej imprezie, ale już teraz mogę powiedzieć, że wezmę udział w przyszłorocznej. Bardzo mi się podobało. Wysoko oceniam zaprezentowane występy. Dla mnie wszyscy uczestnicy przeglądu byli zwycięzcami. Było mi niezmiernie miło, że mogłem otworzyć przegląd, wspólnie z Leszkiem Kulińskim, wójtem gminy Ko-

bylnica, obejrzeć przygotowane występy i wręczyć nagrody najlepszym wykonawcom - powiedział po imprezie Paweł Lisowski - etatowy członek Zarządu Powiatu Słupskiego. (MS)



Fot. J. Maziejuk

Święto patrona

Uczniowie i nauczyciele Zespołu Szkół Agrotechnicznych w Słupsku uczcili pamięć swego patrona – Władysława Reymonta.

Koło teatralne „Świta Królowej” przygotowało inscenizację opartą na Reymontowskich „Chłopach”. Ciekawy

był pomysł na prezentację – wynikał ze specjalizacji poszczególnych klas. Informacyjni opowiadali o przepływie informacji dawniej i dziś; architekci krajobrazu i analitycy – o ziołach w ogrodzie Hanki, szeptuchach, wiedźmach, znakchorkach. Geodeci omówili rolę ziemi w życiu chłopskiej gromady, technicy energii od-

nawialnej – przybliżyli pracę młynarza i rolę młyna na wsi. Żywniowcy mówili o jedzeniu powszednim i przysmaku. Swoją wkład w imprezę miało również Centrum Edukacji Regionalnej, które zaprezentowało wystawę rzeźb i pokaz rzeźbienia w drewnie. Przyjechała poetka z Motarzyna Aldona Peplińska, która zapre-

zentowała m.in. swoje wiersze z najnowszego tomiku „Na słomkowym dywanie”.

Najwięcej emocji wzbudziły konkursy przygotowane przez szkolne polonistki: na piosenkę ludową, Marzannę lub stracha na wróble, ubijanie masła, kręcenie kogla-mogła, rzucanie kapustą do wiadra czy pranie w balii na tarach. (ZSA)

Porywający Śląsk

Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny wystąpił w wypełnionej po brzegi słupskiej hali „Gryfia”. Blisko trzygodzinny koncert obejrzało ponad dwa tysiące osób.

Publiczność bardzo entuzjastycznie przyjęła widowisko i żywiołowo reagowała na to, co działo się na scenie. Ryt-

micznymi oklaskami widzowie raz po raz włączyli się do wspólnie zabawy. „Śląsk” zaprezentował największe przeboje ze swojego repertuaru „A to Polska właśnie”. Artyści wystąpili w stylizowanych kostiumach charakterystycznych dla różnych regionów kraju. Przeważającą część programu stanowiły kompozycje lub opracowania muzyczne

Stanisława Hadyny oraz układy choreograficzne Elwiry Kamińskiej - duetu twórców potęgi „Śląska”. Na program złożyły się popularne utwory Stanisława Hadyny: „Karolinka”, „Szła dziewczeczka”, „Hej, te nasze góry”, „Ondraszek”, opracowania muzyczne do takich tańców, jak: „Trojak”, „Taniec chustkowy”, „Kujawiak - Oberek”, „Krakowiak”, „Polonez - Mazur”.

Koncert zorganizował Zakład Promocji i Twórczości Artystycznej Anny Borkowskiej. W sumie na scenie zaprezentowało się w dwóch blokach programowych ponad stu dwudziestu artystów. Koncert był dedykowany głównie paniom. Dlatego po zakończeniu występów na scenie pojawił się kosz kwiatów i życzenia od starosty słupskiego Zdzisława Kołodziejskiego.

Koncert „Śląska” jest zawsze wielkim przedsięwzięciem logistycznym. Tak było też i tym razem. Artyści przyjechali do

Słupska trzema autokarami. Towarzyszył im TIR ze strojami, trzy ciężarówki przewożące nagłośnienie, oświetlenie i scenę oraz mikrobus technika. Noc spędzili w hotelu Posejdon w Ustce, a w dzień zwiedzili między innymi tamtejsze Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej.

Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” rozpoczął działalność 1 lipca 1953 roku. Założony został przez Stanisława Hadynę i Elwirę Kamińską. Jest ambasadorem polskiej kultury oraz propagatorem jej ludowego wymiaru. Nadrzędną ideą funkcjonowania zespołu jest ukazywanie bogactwa źródeł kultury śląskiej na tle spuścizny innych regionów kraju. Wysoki poziom artystyczny przyniósł zespołowi uznanie na całym świecie. „Śląsk” odwiedził czterdzieści cztery kraje na pięciu kontynentach. Dał już ponad siedem tysięcy koncertów dla ponad dwudziestu pięciu milionów widzów. (MS)



Pieszcy w odblasku

Blisko 9,8 tysiąca dzieci i młodzieży powiatu słupskiego objęto akcją „Pieszcy w odblasku”.

Akcja podjęta została w wyniku zawartego porozumienia o między starostą słupskim Zdzisławem Kołodziejskim, a Zbigniewem Wiczrowskim - dyrektorem Wojewódzkiego Ośrodka Ruchu Drogowego w Słupsku. Ośrodek dostarczył odpowiednią ilość opasek odblaskowych i folderów. Duże zaangażowanie także funkcjonariuszy Komendy Miejskiej Policji, Szkoły Policji w Słupsku, pracowników WORD-u,

Żandarmerii Wojskowej, Straży Granicznej, Straży Gminnych, a także nauczycieli prowadzących wychowanie komunikacyjne i proboszczów parafii, przyczyniło się do podniesienia wśród najmłodszych uczestników ruchu drogowego świadomości na temat bezpiecznego poruszania się po drogach.

Specjalne słowa podziękowania należą się pracownikom Szkoły Policji za przygotowanie konspektu i prezentacji multimedialnej oraz przeprowadzenie szkoleń wspólnie z oficerami Wydziału Ruchu Drogowego Komendy Miejskiej Policji.

Funkcjonariusze Wydziału Ruchu Drogowego i Straży Gminnych w ramach obowiązków służbowych rozdawali też opaski odblaskowe osobom, które poruszały się po drogach i były słabo widoczne dla innych ich użytkowników. Proboszczowie parafii przypominali podczas mszy o zachowaniu ostrożności, a po mszy rozdawali opaski odblaskowe i materiały informacyjne osobom starszym.

Ogółem akcją objęto ponad pięćset oddziałów z dziećmi i młodzieżą w pięćdziesięciu szkołach powiatu. Rozdano 16 tys. opasek odblaskowych, 13 tys. folderów „Nowe prawo



Fot. J. Maziejuk

drogowe i rowerowe”. Akcją objęte zostały także przedszkolaki z przedszkoli publicznych i niepublicznych. (WF)

Strachy z cienkiej blachy?

11 i 12 kwietnia dwa, na szczęście nieuzbrojone, samoloty rosyjskie doprowadziły do kolejnej prowokacji, tym razem na większą skalę, wzbudzając zdenerwowanie Amerykanów, którzy w tym incydencie uczestniczyli.

Kiedy jeszcze byłem oficerem i spędzałem długie tygodnie na żołnierskich poligonach, przeciwnika wymyślaliśmy sobie sami. Najczęściej były to rozmaite makiety: czołgów, armat, bojowych pojazdów i oczywiście sylwetki żołnierzy. Były to - jak zwykłem mawiać do

moich żołnierzy - strachy z cienkiej blachy. A tak naprawdę nazywały się makietami przygotowywanymi specjalnie na ćwiczenia. Za ich pomocą tworzyło się atmosferę pola walki, wyznaczając odległości, kierunki i rodzaje nacierającego na nas przeciwnika.

Ćwiczyłem z saperami, czołgistami, artylerzystami. Na różnych poligonach, z których najmilej wspominał poligon drawski. Najmilej, bo był to niezwykle romantyczny teren, na którym dodatkowo rozlokowane były opuszczone przez ludność i zrujnowane przez ćwiczące wojska



wioski, które dopełniały swoistej dramaturgii pola walki, pozwalając aplikacyjnie - jak to się językiem wojskowym mawiało - ćwiczyć natarcia na zamieszkałe tereny, zdobywać opasowane przez przeciwnika wsie, lub też prowadzić działania z uwzględnieniem konieczności ich izolowania od frontu walki.

W Drawsku zdobywałem szlify skoczka spadochronowego, skacząc z AN-tka, który dzisiaj też mógłby jedynie służyć za bojową atrapę. Układałem tam pola minowe na rubieżach osłaniających nasze wojska, budowałem drogi jako przyszły inżynier z zakresu inżynierii wojskowej. Ba, działając w ramach tak zwanej Gru-

py Rozpoznawczej i będąc dowódcą Oddziału Zaporowego, prowadziłem czołg, który niestety „udało mi się” zatopić w bagnie, na jakiś czas wykluczając swój pododdział z walki. Na szczęście także pozorowanej.

W Drawsku napisałem pierwsze swoje wiersze, dając się poznać z tej wrażliwej strony i trafiając (debiutancko) do wojskowej prasy. Trudno jednak było nie pisać wierszy o trudach poligonowego życia, gdy urokliwy poligon na początku lata wypełniał się błękitem kwitnących łubinów, a przelot helikopterem Mi 2, czy też Mi 8 dostarczał niezapomnianych widoków lśniących srebrzyście wód jezior i wijących się żołnierskich szlaków

przez puste polacie nizin i pagórków dostępnych tylko dla wojska.

Minęło pół wieku, jak poznałem żołnierzy ówczesnego sojusznika z Armii Radzieckiej i lat czterdzieści od czasu, gdy podczas ćwiczeń TAR-CZA 76 wspólnie z nimi aplikacyjnie nacierał na „niebieskich”, to znaczy na kapitalistyczne armie Zachodu, walcząc z jednostkami NATO, których na kilku poligonach w Polsce jednocześnie imitowały nam „strachy z cienkiej blachy” - makiety oraz aplikacyjne sytuacje bojowe rozrysowywane na sztabowych mapach.

ZSRR rozpadł się w roku 1990. Wojska sojusznicze Układu Warszawskiego zaprzestały swej współpracy ▶

Niszczyciel robi wrażenie

Rozmowa ze starostą słupskim, Zdzisławem Kołodziejskim.

- 10 kwietnia delegacja składająca się m.in. z samorządowców reprezentujących region słupski wizytowała amerykański niszczyciel rakietowy USS Donald Cook. Był Pan w składzie delegacji. Jak to się stało, że doszło do tak nietypowej wizyty?

- Kilka dni w porcie w Gdyni gościł amerykański niszczyciel Donald Cook, z oficjalnych komunikatów wiemy, że była to rutynowa wizyta, której celem było wzmocnienie relacji między Polską a Stanami Zjednoczonymi w zakresie obrony Europy Środkowej i Wschodniej. Nasza wizyta, przedstawiciele miasta i gminy Słupsk, powiatu słupskiego oraz Pomorskiej Agencji Rozwoju Regionalnego wiązała się z zaproszeniem, które otrzymaliśmy od kmdr. por. Thomas H. Kierstead - attaché morskiego ambasady USA w Polsce.

- Czy to nie dziwne, że samorządowcy ze Słupska i powiatu słupskiego otrzymali takie zaproszenie?

- Nie. Ponieważ ma to związek z rozpoczynającą się właśnie budową tarczy antyrakietowej w Redzikowie. Nasza baza będzie jednym z elementów całego systemu przeciwrakietowego. System może funkcjonować we współpracy z tzw. pływającą częścią tarczy, czyli z czterema okrętami. Jednym z nich jest właśnie USS Donald Cook. Poza tym radar, który będzie umieszczony w Redzikowie jest tego samego typu, który jest zamontowany na okręcie.

- No właśnie. Co z radarem, który wywołuje największe obawy wśród mieszkańców?

- Dla mnie był to najważniejszy cel tej wizyty. Przekonywano nas, że emisja radaru w Redzikowie nie będzie przekraczała polskich norm, które - jak zauważono - są jednymi z bardziej restrykcyjnych w Europie. Poza tym radar ma być nachylony pod kątem i będzie skanować przestrzeń powietrzną oraz nie będzie pracować w trybie ciągłym. Niemniej zwróciliśmy się do ministerstwa obrony narodowej o dokonywanie pomiarów jego funkcjonowania, aby mieszkańcy mieli pewność, że nie ma żadnego zagrożenia.

- Czy okręt zrobił duże wrażenie?

- Tak. Jest to ponad 150-metrowy niszczyciel, na którym stacjonuje trzyosobowa załoga. Wyposażony jest w nowoczesny sprzęt wojskowy, który czyni go bardzo ważnym elementem systemu obronnego. Warto zauważyć, że jest bardzo uniwersalny, oprócz zwalczania rakiet i samolotów jest bardzo groźny w walce morskiej z innymi okrętami. Może również prowadzić działania militarne, wysyłając rakiety w głąb lądu. O możliwościach militarnych okrętu niech świadczy to, że z tego typu okrętu w 2008 roku Amerykanie zestrzelili rakietę satelitę szpiegowskiego, nad którym stracili kontrolę. Rakietą przeleciała 247 kilometrów i po trzech minutach lotu zniszczyła satelitę. Nie-



Fot. J. Maziejuk

którzy do dzisiaj twierdzą, że głównym celem zestrzelenia satelity było przetestowanie systemu antyrakietowego.

- Wracając do bazy w Redzikowie. Czy będzie ona wpływała na rozwój regionu?

- Upubliczniony został raport o wpływie systemu obrony przeciwbaliistycznej w Redzikowie na rozwój gospodarczy regionu słupskiego. Wynika z niego jasno, że ograniczenia zawarte w umowie pomiędzy rządem Rzeczypospolitej Polskiej a rządem Stanów Zjednoczonych, które dotyczą promienia trzydziestu pięciu kilometrów wokół bazy negatywnie wpłyną na rozwój gospodarczy regionu. Brak możliwości realizowania inwestycji lub ograniczenia inwestycyjne będą powodowały rezygnację inwestorów z planowanych w powiecie projektów inwestycyjnych. Dlatego nie ustajemy w dążeniach o dodatkowe wsparcie rządowe dotyczące kluczowych dla regionu inwestycji.

Rozmawiał:
Paweł Dąbek, Słupsk

► w 1991. W 1993 roku stacjonujące na terenie Polski wojska Armii Radzieckiej opuściły na stałe swoje bazy na terenie Polski. W 1999 roku sytuacja geopolityczna w Europie zmieniła się diametralnie, a Polska, która po czerwcowych wyborach 1989 roku przeszła transformację ustrojową,

Mimo iż temat ten jest ciągle gorący, w naszej polityce obronnej wciąż jest dużo niepewności. Kierunki polityki światowej są nadto czytelne, by ich nie brać pod uwagę. Sytuacja na Ukrainie i sankcje nałożone przez Unię Europejską na Rosję wywołały kryzys w stosunkach dyplomatycz-

nej prowokacji, tym razem na większą skalę, zbudzającą zdenerwowanie Amerykanów, którzy w tym incydencie uczestniczyli. Samoloty przeleciały bowiem nad amerykańskim niszczycielem USS Donald Cook biorącym udział w ćwiczeniach na Bałtyku w momencie, gdy tankował na nim paliwo polski śmigłowiec. Jeden z samolotów wykonał nad okrętem bojową beczkę, pozorując atak.

Oburzony incydentem amerykański sekretarz stanu John Kerry wyjaśnił, że były one śledzone wcześniej i mogły zostać zestrzelone. My też (w naszym imieniu minister Obrony Narodowej) i to nie po raz pierwszy oburzaliśmy się incydentem. Nie po raz pierwszy, bo jak wiadomo opinii światowej, tego typu zachowania rosyjskich pilotów do rzadkości nie należą. Naruszanie granic naszego państwa, próby pokazania dominacji nad Bałtykiem są ze strony rosyjskich pilotów dość częste. Jeszcze częściej dochodzi do nich nad naszymi sąsiadami - Litwą i Łotwą.

Należy się domyslać, że prowokacja miała sens i taki, że nie tylko wypróbowywano naszą cierpliwość, ale przede wszystkim Rosjanie prowokują opinię światową do dalszych posunięć, mających na celu ograniczenie obecności NATO w Europie Środkowo-Wschodniej, a może i do niedopuszczenia do Szczytu NATO w Warszawie.

Amerykanie swoje zdanie o Rosjanach mają. Ale sytuacji wokół wspierania naszej obronności nie poprawi również polityka wewnętrzna. Przyjęcie przez Parlament Europejski rezolucji wobec Polski, wyrażającej zaniepokojenie kryzysem wokół Trybunału Konstytucyjnego i stanem demokracji w Polsce, jest tylko częścią zaniepokojenia, jakie nasz kraj od kilku miesięcy wywołuje w Europie. Podkreślmy - w Europie wieloletniczej, której Polska przeciwstawia swoje interesy narodowe. I Europie świeckiej, której Polska jako kraj sprzymierzony przeciwstawia konserwatywne wartości katolickie.

Sojusz polega na dzieleniu wspólnych wartości. Oby, jak było to już w okresie międzywojennym przed wrześniem 1939 roku, nie okazało się, że znów na swej politycznej drodze niezależności - w obliczu zagrożeń, wcale nie aplikacyjnych - pozostaniemy sami.

Jan Stanisław Smalewski
Naćmierz

wą, przechodząc na stronę państw zachodnich, przyjęta została do struktury militarnych NATO.

Nasze wojsko także przeszło głęboką transformację, a zwłaszcza restrukturyzację, w wyniku której przestała praktycznie istnieć armia z poboru. Po przystąpieniu Polski do NATO, obrany przez naszych strategów wojskowych kierunek zacieśniania współpracy z głównym partnerem - Stanami Zjednoczonymi, skupił się na organizowaniu wspólnych ćwiczeń wojskowych. W ostatnich latach udało się także zacieśnić w tym względzie współpracę z Bundeswehrą. Od 2012 roku przeprowadzono kilka dużych ćwiczeń z udziałem tych armii na obszarze państw bałtyckich - Łotwy, Litwy i Polski.

Kolejni ministrowie Obrony Narodowej podjęli próby umocnienia naszych mocy obronnych poprzez stworzenie stałych baz wojskowych dla stacjonowania systemów antyrakietowych NATO. Znana naszym czytelnikom sprawa amerykańskiej bazy lotniczej w Redzikowie k. Słupska wchodzi w tym roku w trzecią fazę realizacji programu, w wyniku której latem ma powstać kolejny komponent planowanej tu tarczy antyrakietowej.

nych pomiędzy Rosją i USA. Emigracja wojenna uchodźców z Afryki, do której pośrednio przyczynia się Rosja, odbija się na bieżącej polityce Europy Zachodniej. Wymyka się spod kontroli przywódców państw Unii Europejskiej, uderza w silną dotychczas pozycję Niemiec, w tym jej kanclerz Angeli Merkel.

Niemcy, jako ramowe państwo Sojuszu Północno-Atlantyckiego w obszarze obrony przeciwrakietowej, w kontekście konfliktu pomiędzy Rosją i Ukrainą zapowiedziały na ten rok zmianę swoich planów związanych z umacnianiem systemu obrony przeciwrakietowej. Ostatnia zapowiedź minister Obrony Narodowej Niemiec, że środki przeznaczone na obronę, w tym na Luftwaffe ograniczone zostaną do 2 proc... dochodu narodowego, stawia poważny znak zapytania co do zdolności niemieckiej armii do wypełniania zobowiązań sojuszniczych.

Oglądając w telewizji reklamy rządowych przygotowań do planowanego w lipcu w Warszawie Szczytu NATO, z zazdrością jako wojskowy, ale i z niepokojem patrzę na sprzęt, jakim dysponują współczesne armie państw NATO. 11 i 12 kwietnia dwa, na szczęście nieuzbrojone, samoloty rosyjskie doprowadziły do kolej-



Fot. P. Lisowski

Spóźnione powroty

W Kazachstanie jeszcze żyje 34 tysiące osób, które w swoich dokumentach mają wpisaną narodowość polską.

Byłem radnym Rady Miejskiej w Słupsku i w mojej kadencji przygotowałem uchwałę nr XV/194/2000 z dnia 23 lutego 2000 roku w sprawie wyrażenia woli sprowadzenia polskiej rodziny z Kazachstanu i zapewnienia dla niej mieszkania w Słupsku. Następnie zbierałem podpisy od radnych popierających mój wniosek, a niezdecydowanych starałem się przekonać i jednocześnie prowadziłem rozmowy z właścicielami firm o zatrudnienie repatriantów.

Byłem pod wrażeniem decyzji Ministerstwa Oświaty dotyczącej rekrutacji nauczycieli do tworzonych szkół w Kazachstanie. Jako czynny nauczyciel technikum chciałem skorzystać ze zorganizowanego zaciągu i pojechać do Polonii kazachskiej, aby na miejscu uczyć. Jednak nie mieściłem się w limicie określającym przedział wiekowy kandydatów. W Słupsku natomiast było w tym czasie największe bezrobocie i moje propozycje nie zostały przez Radę Miejską od razu pozytywnie przyjęte. Byłem nawet pomawiany, że w ten sposób zwiększam już i tak duże bezrobocie i dla tej, sprowadzonej rodziny nie znajdę zatrudnienia.

Po dyskusjach przygotowałem uchwałę, którą ostatecznie zatwierdziła Rada Miejska, po uprzednim spełnieniu tylko jednego istotnego warunku. A mianowicie: wykonanie uchwały było uzależnione od realizacji zapisu, że „pomysłodawca przedstawi listy intencyjne od właścicieli firm o zapewnieniu zatrudnienia dla sprowadzonych repatriantów”. Jedynie od firmy Michała Staniuka otrzymałem takie zapewnienie.

Deportacja Polaków przez Związek Radziecki do Kazachstanu była przeprowadzana wielokrotnie i rozpoczęła się już w 1936 roku na Ukrainie, gdzie rugowano polskie rodzinne gospodarstwa w akcji kolektywizacji rolnictwa, a ludność miejscową uważano za żywiol niebezpieczny. Władza radziecka prześladowała Polaków zabierając cały ich dorobek życia i dokonywała zsyłki na stepy Kazachsta-

nu. Prawie 60-tysięczna społeczność polska oczekiwała po II wojnie światowej od wszystkich polskich rządów, że się upomną o Polaków pozostawionych na nieludzkiej ziemi. Mijały lata, a w nowej rzeczywistości nie było wystarczającej pomocy państwa do sprowadzania Polaków do ojczyzny.

Jedynie oferowano na miejscu, w Kazachstanie, m.in. pomoc przy zakładaniu szkół polskich i delegowaniu

a momentami wstrząsające autentycznością wielu wydarzeń, które spotykały rodziny polskie zamieszkałe na obszarach po roku 1918. Decyzje ówczesne były związane z ustaleniami Traktatu Ryskiego, określającego daleko na wschód granice Polski, jednak przebieg ich nie objął wioski zamieszkałej przez dziadków Jana. Była to wieś zamieszkała przez samych Polaków i tylko siedem kilometrów odda-



Fot. Archiwum Autora

nauczycieli, oraz wspieraniu akcji budowy kościołów. Natomiast pojedyncze samorządy podejmowały decyzje o indywidualnym sprowadzaniu rodzin, zapewnieniu im mieszkania oraz pracy.

Tak też przedstawiała się sytuacja, kiedy proponowałem Radzie Miejskiej w Słupsku w 2000 roku uchwałę w sprawie sprowadzenia rodziny z Kazachstanu. Po przygotowaniach sprowadzono w 2002 roku czteroosobową rodzinę Jana G., zamieszkałego w Alma-Acie.

Historia Jana G. jest podobna do wielu potomków Polaków, których dziadkowie i rodzice byli deportowani w głąb Rosji Sowieckiej. Dziś przekazuje on wspomnienia wzruszające,

lona od granic wyznaczonych dla Polski. Rodzina Jana G. przeszła gehennę deportacji w 1936 roku na stepy Kazachstanu, pozostawiając gospodarstwo, cały dobytek materialny i nigdy nie wracając już do miejsca swoich korzeni.

Deportacje i tragiczne przeżycia rodzin polskich zostały już wielokrotnie opisane. Można zacytować niektóre publikowane wspomnienia: „Pierwsi umierali starsi i małe dzieci oraz zesłańcy pozbawieni rodzin czy przyjaciół, którzy mogliby się podzielić z nimi jedzeniem. W tak nieludzkich warunkach kończyli życie tysiące kilometrów od swoich domów, Polacy skazani przez NKWD na wywiezienie w głąb Związku Radzieckiego.

Tymczasem zesłani do Kazachstanu znaleźli się w zupełnie nieznanym kraju, gdzie step rozciąga się we wszystkie strony jak morze. Krajobrazu niemal nigdzie nie „łamię” drzewo ani krzew. Prawie nie ma życia. Z rzadka nad głowami przelatują nieliczne, żalosne ptaki.”

W kwietniu 1940 roku wywożono głównie kobiety i dzieci skazywane na wygnanie zgodnie z artykułem 59 radzieckiego kodeksu karnego, na mocy którego do łagrów trafiały kobiety uznane za „członka rodziny zdrajcy ojczyzny”. Polskie kobiety i dzieci były internowane tylko dlatego, że wcześniej ich mężowie i ojco-

katolickiej parafii polskiej szkole - języka polskiego, kultury europejskiej i religii. Zasługi jej są nie do ocenienia. Będąc w Alma - Acie, przez szesnaście lat przygotowywała repatriantów do powrotu do Polski, prawie pięćset osób nauczyła poprawnej mowy polskiej. Pomogła też Janowi.

Dzisiaj dokonują się radykalne zmiany w Karcie Polaka. Pozwala ona ściągnąć wszystkich repatriantów ze Wschodu, zdecydowanych do powrotu do ojczyzny. Wtedy nie było to takie proste. Zreformowana obecnie Karta ma ułatwić jej posiadaczom nie tylko osiedlanie się w Polsce, ale umożliwić im udzielanie skuteczniej-

padzie ZSRR, które nie uznają podwójnego obywatelstwa. Umożliwia m.in. refundację kosztów uzyskania wizy, dostęp do polskich szkół i uczelni oraz ułatwienia w uzyskiwaniu stypendiów, a także podejmowanie pracy i prowadzenie działalności gospodarczej w Polsce. Jest ważna przez dziesięć lat od momentu przyznania i może być przedłużana na wniosek zainteresowanego.

Osoby ubiegające się obecnie o Kartę muszą wykazać swój związek z polskością, w tym przynajmniej bierną znajomość języka polskiego. Muszą wykazać, że jedno z rodziców lub dziadków bądź dwoje pradziadków było narodowości polskiej albo przedstawić zaświadczenie organizacji polonijnej o działalności na rzecz kultury i języka polskiego.

Do grudnia 2015 roku polskie urzędy konsularne przyjęły ok. 170 tys. wniosków o przyznanie Karty, a otrzymało ją ponad 160 tys. osób mieszkających na terenie byłego Związku Radzieckiego. Najwięcej - ponad 76 tys. wniosków złożono na Białorusi, na Ukrainie blisko 70 tys., na Litwie niecałe 6 tys.

Anatol Diaczyński, były działacz Polskiego Stowarzyszenia Kulturalno-Oświatowego w Kazachstanie jeszcze nie tak dawno mówił: „Do tej pory wielu Polaków ze Wschodu skarżyło się na procedury repatriacji, które utrudniały im powrót, a nawet zdaniem niektórych osób czyniły go niemożliwym. Polskie władze doprowadziły do tego, że powrót do ojczyzny graniczy z cudem. Polska do tej pory traktowała Polaków na Wschodzie instrumentalnie, z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że polskim władzom opłacało się pozostawić Polaków na Wschodzie.”

Polskie władze zrobiły już wiele dla rodaków ze Wschodu. Mimo to należy wciąż podkreślać, że historia Polaków pozostawionych na nieludzkiej ziemi jest tragiczna, wiele pokoleń zesłańców już nigdy nie doczeka się powrotu do suwerennej Polski. Tam przeszli przez „smugę swojego cienia” i pozostawili swoje doczesne szczątki. Nadal wielki obowiązek spoczywa na Polakach, aby godnie zapewnić rodakom powrót do ojczyzny. Jest obowiązkiem „rządzących”, by wszystkim ubiegającym się o powrót repatriantom dać taką szansę.

Włodzimierz Lipczyński
Ślupsk



Fot. Archiwum Autora

wie zostali aresztowani przez NKWD, ukrywali się, byli jeńcami wojennymi lub uciekli za granicę.

Klasyfikowano je jako „zesłańców administracyjnych” i rozrzucono w sześciu obwodach Kazachstanu: aktiubińskim, kustanajskim, pietropawłowskim, akmołińskim, pawłodarskim i semipałatyńskim. Odsetek zgonów był bardzo wysoki; niewielu udało się wydostać ze Związku Radzieckiego po ogłoszeniu w roku 1941 amnestii.

W Kazachstanie urodził się w 1952 roku Jan G. Pamięta swój dom rodzinny - wybudowaną lepiankę rękoma dziadków i rodziców z gliny i trawy na stepie. Przygotowania poprzedzające jego wyjazd do Polski trwały długo, mimo iż posiadał podwójne obywatelstwo. Szczególną rolę w jego decyzji życiowej odegrała Janina Dłużewska, nauczycielka przypadkowo spotkana na ulicy w Alma-Acie. Przyjechała do stolicy Kazachstanu uczyć w utworzonej tam przy

szej pomocy. Najważniejsza to: możliwość nieodpłatnego otrzymania Karty, po roku otrzymania polskiego obywatelstwa (obecnie oczekuje się na nie trzy lata), możliwość ubiegania się o dofinansowanie wynajęcia mieszkania, kursów zawodowych czy nauki języka polskiego. Posiadacze Karty Polaka będą też zwolnieni z opłat konsularnych za przyjęcie i rozpatrzenie wniosku o wydanie polskiej wizy. Dokument będzie też można uzyskać w urzędach wojewódzkich, a nie jak do tej pory tylko w polskich konsulatach.

W Kazachstanie jeszcze żyje 34 tysiące osób, które w swoich dokumentach mają wpisana narodowość polską. Nie mówiąc o tysiącach mieszanym rodzin polsko-rosyjskich oraz polsko-kazachskich. Karta Polaka przyznawana jest osobom polskiego pochodzenia, żyjącym w piętnastu krajach za wschodnią granicą, powstałych lub odrodzonych po roz-

Jest jeszcze szczególny dzień, 8 marca - Dzień Kobiet (International Women's Day), który ustanowiony został w 1910, a po raz pierwszy obchodzony w 1911 roku. Coroczne święto jest wyrazem szacunku dla ofiar walki o równouprawnienie kobiet.

Za pierwowzór Dnia Kobiet przyjąć można obchodzone w starożytnym Rzymie Matronalia. Było to święto przypadające na pierwszy tydzień marca, związane z początkiem nowego roku, macierzyństwem i płodnością. Z okazji tego święta mężowie obdarowywali swoje żony prezentami i spełniali ich życzenia.

Początki współczesnego Międzynarodowego Dnia Kobiet wywodzą się jednak z ruchów robotniczych w Ameryce Północnej i Europie. Pierwsze dobrze udokumentowane obchody odbyły się 28 lutego 1909 roku w Stanach Zjednoczonych, oczywiście przy akompaniamencie policyjnych napadów, burżuazyjnego terroru i Ku Klux Klanu. Międzynarodowy Dzień Kobiet od wieku świętowany 8 marca kalendarza gregoriańskiego na stałe wpisał się do kalendarza dni świątecznych, aczkolwiek w Polsce nigdy nie był dniem wolnym od pracy. Wielu osobom kojarzy się z czasami PRL-u i z wręczanymi wówczas goździkami - symbolem emancypacji i równouprawnienia kobiet.

Obecnie niektórzy mężczyźni próbują się wyłgać od wręczania symbolicznego kwiatka, tłumacząc, że jest to święto rzekomo wymyślone przez komunistów, a sama jego idea ma wielu przeciwników, w tym także kobiet.

W Polsce Dzień Kobiet przeszedł być centralnie obchodzony w roku 1993, podczas gdy jest on obchodzony w wielu państwach całego świata. Tego dnia uznawane są zasługi wszystkich kobiet bez względu na podziały narodowościowe, etniczne, językowe, kulturowe, gospodarcze czy polityczne. Jest to okazja, by spojrzeć wstecz na zmagania i dokonania z przeszłości, a co ważniejsze, by spojrzeć w przyszłość i zwrócić uwagę na niewykorzystany potencjał oraz możliwości, jakie otwierają się przed następnymi pokoleniami kobiet.

Pomimo wielu rezolucji, dyrektyw na rolę kobiety w życiu społecznym dalej mężczyźni patrzą z dystansem. Te w różny sposób próbują stawiać temu zjawisku opór, ale nie zawsze się to udaje. Ruch feministyczny, mający na celu osiągnięcie przez ko-

Miejsce kobiet

Marzec to miesiąc, który kojarzy się z nadchodzącą wiosną, a ta uwalnia przyrodę. Oznacza to, że dzień staje się dłuższy, pojawiają się wielokolorowe kwiaty, którymi mężczyźni obdarowują kobiety.



Fot. J. Maziejuk

biety własnej autonomii, podkreśla, że niezwykle ważną rzeczą jest, ażeby kobiety same siebie reprezentowały oraz żeby mogły swobodnie wyrażać osobiste poglądy.

Miejscem takim jest m.in. Kongres Kobiet. W Polsce powstał w czerwcu 2009 roku, jako ruch społeczny, aktywizujący kobiety. Punktem wyjścia były działania podjęte

wokół organizacji I Kongresu, czyli zjazdu ponad 4 tysięcy kobiet z całego kraju, które dyskutowały o swoim wkładzie w historię ostatniego 20-lecia w Polsce.

Obecnie Kongres Kobiet jest społeczną inicjatywą zrzeszającą osoby indywidualne, organizacje pozarządowe, przedstawicielki biznesu, polityki, świata nauki, sztuki, dziennikarstwa, związków zawodowych, związków pracodawców oraz wiele innych. Nie jest związany z żadną instytucją ani z żadną partią polityczną. Inicjatywa ogólnopolska została przeniesiona w teren.

W 2015 roku prawniczka Danuta Wawrowska wraz z kilkoma feministkami powołała Stowarzyszenie „Kobiety Słupsk” i tym samym odbył się I Kongres Kobiet pn. „Uwolnić energię kobiet”. Energia została uwolniona - jak mówi pani prezes Danuta Wawrowska - i właśnie 12 marca br. odbył się w Ustce II Słupski Kongres Kobiet, poświęcony tym razem miejscu kobiet we współczesnym świecie.

Poza indywidualnymi wystąpieniami były dyskusje panelowe. Jednej nadano temat „Kultura jest kobietą”. Jedną z dyskusantek była aktorka Katarzyna Figura, która stwierdziła, że biorąc pod uwagę rodzaj zawodu jaki wykonuje, nie jest gorzej traktowana w pracy od swoich aktorów - kolegów.

Bardzo ciekawa dyskusja dotyczyła alimentów („Alimenty to nie prezenty”) - ten panel poprowadziła Danuta Wawrowska. W innym panelu „Bukiet Feministów” wzięli udział tylko panowie w zróżnicowanym wieku i profesji - pisarz Janusz L. Wiśniewski, socjolog M. Maraszkiewicz i dziennikarz Piotr Merecki. Przyznali, że z większością też zgłoszonych na Kongresie należy się zgodzić.

Ciekawa i wzruszająca była wypowiedź pani profesor Ewy Graczyk z Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Po wysłuchaniu jej wystąpienia poprosiłam panią profesor o przekazanie mi tekstu. Zobowiązałam się, że w całości prześlę go do druku w „Powiecie Słupskim”, dając możliwość zapoznania się z nim czytelnikom powiatowego pisma.

**Joanna Orłowska
Słupsk**



Niewolnice miłości

Kobietom powtarza się ciągle, że są stworzone do miłości, że to ona dla nich najważniejsza, że tylko ona się liczy. Ale co to właściwie znaczy?

Jesteś młoda, czytałaś wiele książek, oglądałaś mnóstwo filmów o miłości. Wszystkie one sławiły bez końca historię Kopciuszka. Któregoś dnia także ty poznałaś księcia z bajki: on jest cudowny, jest taki, jakiego zawsze chciałaś spotkać i nawet jeśli twojej mamie coś w nim nie pasuje, twoja miłość wie lepiej, wie, że to on - wychodzisz za niego za mąż.

Na początku jest świetnie: kochasz i jesteś szczęśliwa: wszystko poświęcisz, żeby być z nim i żeby on był szczęśliwy. Z miłości robisz to, co ro-

bią kobiety zakochane, robisz, bo możesz i chcesz, bo dar miłości jest łatwy i lekki. Niczego od niego nie wymagasz, bo on jest taki rozkoszny, nie umie nawet wody zagotować: mama za niego wszystko robiła.

Nie wiesz, że zawierasz właśnie kontrakt, który zerwać można tylko ogromnym kosztem, nie wiesz, że właśnie teraz, stopniowo, każdy twój dar staje się obowiązkiem, oczywistym zadaniem.

Pojawiają się dzieci i jest jasne, że to są przede wszystkim twoje dzieci,



Fot. J. Maziejuk

Kochasz, więc nadal robisz wszystko z miłości, lecz stopniowo staje się jasne, że nikt ci nie pomoże, bo nie musi, nikt nie jest zdeterminowany tak jak ty. Tylko ciebie obowiązuje wszechmocny i mglisty kodeks miłosny, który niezauważalnie rozszerzył się na dzieci, bezradnych krewnych, potem zaś na starych rodziców. Im jesteś starsza, tym mniej romantycznego daru, a coraz więcej harówki bez końca: musisz sobie poradzić sama, bo tylko ciebie obowiązuje nakaz miłości bezwarunkowej, absolutnej, jakby nie z tego świata.

Mężczyźni - ojcowie i partnerzy są jak najbardziej z tego świata, mają policzalne, możliwe do wykonania prawa i obowiązki, tylko ty podpisałaś miłosny kontrakt bez żadnego zabezpieczenia dla siebie samej. Cień tego kontraktu nie opuści cię także wtedy, gdy robisz karierę zawodową, nawet wtedy dręczy cię poczucie winy, że nie ma cię z dziećmi, że zaniedbujesz swoje obowiązki.

Nasze państwo jest pragmatyczne i niezmuszone silnym naciskiem, nie zajmuje się mieszkankami domowego zacisza: „nie czyta” obrazu żon i matek, póki są posłusznym narzędziem obsługi rodziny, póki są tanim, wielozadaniowym instrumentem - kucharką, pielęgniarką, nianią, terapeutką, rehabilitantką. Taki robot bywa bardzo samotny w pełnym ludzi domu.

Czasem sytuacja staje się tak nieznośna, że niewolnica miłości popełnia zbrodnie z miłości: wyladowuje swój tłumiony gniew na dzieciach, jedynych istotach słabszych od siebie - upokarza je, manipuluje nimi, uzależnia.

A kiedy coś pójdzie nie tak, kiedy z księcia z bajki wychynie agresor dręczący żonę i dzieci? Kiedy wreszcie sąsiedzi czy nauczyciele ze szkoły zobaczą coś niepokojącego? Ile czasu upłynie, zanim policja uzna, że nie są to rodzinne sprzeczki?

A jeśli urodzisz dziecko z porażeniem mózgowym, z zespołem Downa? Okaze się wtedy, że twój miłosny kontrakt był wyrokiem nie tylko na ciebie, ale także na dziecko, o które tylko ty się troszczysz. Dostaliście podwójne dożywocie i żadna z waszych chwil nie będzie wolna od myśli: co będzie z nim/nią, kiedy umrę.

Upraszczam, uogólniam, opowiadam w części przestarzałą historię. Dzisiaj zdecydowana większość ko-

biet broni się przed zawłaszczeniem swojej egzystencji, przed zamknięciem w cienistej przestrzeni domu, broni się mniej lub bardziej skutecznie. To, co tutaj przedstawiam, to narracja o sile ciężenia, o grawitacji mentalnej. O tym, co się dzieje, gdy któreś z nas zabraknie możliwości i uporu, żeby skutecznie walczyć o prawa dla siebie - nacisk bowiem jest ciągle ogromny, pułapka miłosnej niewolnicy pojawia się na styku trzech mitów, trzech narracji, które ciągle kształtują nasze kobiece życie.

Kultura popularna zwabia „dziewicę” w miłosne zacisze, przygotowuje młodą kobietę do domowego życia prawie niechronionego prawem, namawia do podejmowania decyzji emocjonalnych i nieprzemyślnych: kościół przekształca romantyczną miłość szaloną w pokorną formę miłości, która niczego dla siebie nie żąda: a na końcu państwo przychodzi na gotowe i wykorzystuje niewidzialne kobiety, zrzucając na nie wszystkie funkcje opiekuńcze.

Na początku trzeba dziewczynę złowić i tutaj opowieść o Kopciuszku jest nieodróżnialną inicjacją w sferę zadań bez końca i bez reguł: po kilku latach żona i matka wie już, że nie warto było zawierać paktu bezradności, nie ma jednak czasu na wytrzeźwienie, bo zdezorientowaną i rozbłąkaną przechwytuje następna fala mitycznych opowieści. Teraz są to złoza religijne, narracje głoszące kult poświęcenia bez granic - w naszym kraju tylko żony i matki obowiązuje chrześcijańska miłość o zaostrożnym rygorze.

Staram się w tym monologu ukazać siłę uczuciowego podłoża, które wabi kobiety syrenim śpiewem - pięknym i zdradliwym. Ten śpiew ofiaruje nam wyidealizowany wizerunek siebie samych: czar syreniej pieśni przyska jednak, gdy czyta się ją jako bezlitosny kontrakt podpisany pod osłoną nocy. Śpiew przechodzi często w stłumione wycie.

Nie jesteś niewolnicą miłości, dom i rodzina nie jest pieczarą zamkniętą na cztery spusty. Masz prawo do opieki, do państwa prawa, które zajmuje się tobą tak samo skutecznie i tak samo serio jak twoim mężem, partnerem czy dziećmi. Potrzebujemy - kobiety i mężczyźni - więcej opieki, potrzebujemy wielorakich instytucji opiekuńczych: bez eksploatacji, bez wyzysku żon i matek.

Ewa Graczyk, Słupsk

że to twój dom, że codzienna, nigdy niezakończona krzątania, gotowanie, sprzątanie, pranie staje się twoim losem, twoją klątką. Odtąd związana będziesz tysiącem ledwie widocznych nici: stałaś się przecież matką, matka jest tylko jedna, nikt nie zastąpi matki, dzieci potrzebują matki, nikt nie potrafi się nimi zająć tak jak matka.

Już nie jest takie rozkoszne, że ręce odpadają mu od każdego garnka czy pieluchy, ale kontrakt stał się oczywisty: role męża i żony, ojca i matki ściśle rozdzielone.

Bełkot dla szpanu?

Czy akcyjne działania społeczne, nawet samego prezydenta wystarczą na napór wulgarności, ułomnego pokrętnego anglosłownictwa i slangu młodzieżowego, które opanowują polską mowę i stają się negatywnym wzorcem dla młodego pokolenia Polaków?



Swag, yolo i gofry z posypko - mówi dzisiejsza młodzież. Ale, dlaczego ulegają temu też poważne instytucje, czasem media, stosując te same określenia. Czy po to, aby się przypodobać małej grupie tak mówiącej młodzieży? Dlaczego te naleciałości zwane kiedyś makaronizmami nie są zwalczane przez operowanie pięknym literackim językiem? Dlaczego większość ma ulegać zachowaniom małej grupy młodzieży? Skąd się to bierze? Czy ma to podkreślać upodobania lingwistyczne grupy osób, która wykorzystując swoje zdolności do „szusowania” na internetowych blogach, prowadzi w tym języku liczne rozmowy, albo wysyła smsy?

Sformułowania takie, jak: buda, joł i na luzie przeszły już do lamusa. Dzisiejsza młodzież chodzi na shopping, płaci hajsem i jest ciągle na łączach. Jeśli chcecie się dowiedzieć co znaczy YOLO, jak być SWAG i dla-

czego na końcu smsów pisze się xoxo, zapytajcie o to młodocianego rozmówcę, który prowadzi w tym stylu konwersację. Nastolatkom twierdzą, że slangiem posługują się odruchowo. - To dla mnie normalny sposób mówienia. - Jestem przyzwyczajona do używania określonych zwrotów - mówi przedstawicielka małałotów.

Gimnazjaliści i licealiści charakterystycznie witają się i żegnają. Zamiast: cześć, używają: siema, siemanko i elo. Rozmowę kończą skrótowymi: nara, pozdro, c ya, z angielskiego: see you. Nowością jest rozszerzona forma nara, czyli narciarz. Młodzież specyficznie nazywa też tak sama siebie. Na dziewczynę mówi się typiara lub lasencja. Fajnego chłopaka określa się mianem ciacha, typa, kolesia lub bro. Przyjaciele to ziomałe lub mordy. Jeśli ktoś nie jest szanowany w otoczeniu, nazywa się go frajerem, złamasem lub luzerem.

Wśród młodych ludzi możemy wyróżnić dwie wiodące subkultury. Jedną z nich jest gimnaza, czyli uczniowie gimnazjum, którzy wolny czas spędzają przesiadując w galeriach handlowych lub udzielając się na portalach społecznościowych. Drugą grupą są hipsterzy, o których pisze się bardzo dużo. Jedynym z ważnych elementów życia każdego nastolatka są pieniądze, czyli: hajs, mamona, kasa, którą mają tylko krezusi, czyli bogaci. Na portalach społecznościowych rekordy popularności bije, czyli osiąga zainteresowanie grupa „Za hajs matki baluj”, skupiająca młodzież, która pieniądze na imprezy bierze od rodziców. Hitem ostatnich miesięcy jest też sformułowanie: „Kto bogatemu zabroni”. Używając go, młodzież usprawiedliwia swoje wydatki. Dużą uwagę przykładają się do looku, czyli wyglądu. Elementy stroju muszą paść, czyli pasować. Młodzież kupuje ubrania podczas tzw. shoppingu. Jeśli ktoś dobrze się prezentuje, z pewnością zostanie przez rówieśników obczajony, czyli zauważony i zmierzony wzrokiem. W życiu każdego nastolatka dużą rolę odgrywają imprezy, czyli melanje, biby lub balety. Podstawą dobrej imprezy są muza, alko i szluga (nie popieramy). Na drugi dzień większość młodych ludzi nie ogarnia się i pada na ryj alboma bezczaj, czyli nie zdaje sobie sprawy z tego, co dzieje się wokół. Młodzież swoje życie dokumentuje robiąc selfie i samojebki, czyli zdjęcia twarzy aparatem trzymanym w ręce. Jeśli fotografia zostanie umieszczona na portalu społecznościowym, pojawiają się pod nią komenty, czyli komentarze, oceniające czyjaś facjatę, czyli twarz. W slangu powszechne jest stosowanie zamiast sto procent - sto pro. Bardzo modne jest też zastępowanie w rzeczownikach i przymiotnikach końcówki „ą” literą „o”, np. zagranico, kochano, posypko, z czekolado.

Odrębne słownictwo stosuje się we wszechstronnych kontaktach prowadzonych w oparciu o sms. Są to nowe zwroty stosowane po raz pierwszy w koleżeńskich smsach. Jeśli mamy z kimś stały kontakt, mówimy, że jesteśmy na łączach lub w tacz. LOL lub ROTFL, oznaczające kolejno Lots of Laugh i Rolling On The Floor Laughing, pisze się, kiedy coś nas rozśmieszy. Na końcu wiadomości młodzież dodaje litery xD, które oznaczają zadowolenie i zwirowanie. Negatywn-

nym odpowiednikiem jest xF. Często używa się też xoxo, czyli Hugs and kisses, a więc buziaczki, uściski. Młodzi do slangu czerpią również zwroty z innych angielskich wyrażen. Jednym z nich jest YOLO, które oznacza spontaniczne działanie. To skrót od You Only Live Once, odpowiednik Carpe Diem. - Używamy go kiedy wagarujemy, imprezujemy, chodzimy po dachach - tłumaczą licealiści. Innym modnym hasłem jest: SWAG. Wywodzi się od słowa swagger, które narodziło się w kulturze hip-hopowej. W latach 60. założono grupę „Secretly we are gay”. Jej członkowie chodzili w charakterystycznych koszulkach, aby wyróżnić się z otoczenia. - Teraz SWAG oznacza lans - przekazuje swoją opinię uczeń Kuba.

Młodzi ludzie dostosowują angielską pisownię do polskiej. Hejt pochodzi od hate i oznacza krytykę. Słowo fame to po polsku fejm, czyli sława, kariera. Fejmem można nazwać też znaną osobę. Z mody wyszły już popularne w latach 90. powiedzenia, pochodzące ze świata hip-hopu. Nie mówi się: buda, na luzie i joł. Jak twierdzą eksperci, ze slangiem nie warto walczyć. Ale można się zastanawiać, jakie wywołuje skutki. Często może być dowodem inteligencji, poczucia humoru czy wspólnoty przeżyć, tak jak np. glany, ciekawe fryzury. Dla zainteresowanych ciekawe może być porównanie tego samego tekstu przedstawionego w dwóch wersjach, który ukazał się na stronie internetowej Radia Gdańsk.

WERSJA W SLANGU: „Spoko newsy dla każdego kiery. W miejscowach, gdzie zipa się bajurę taniej zupa. Wybulimy za nią 5,60 złotych za litr. D-Dayu należy nypać już od wtorku. Jak mawiają ekonomy, mniej hajsu wybulimy, bo blatują w Syrii i będącie peacexD.”

WERSJA ORYGINALNA: „Dobre wiadomości dla kierowców. Na stacjach benzynowych taniej paliwa. Aktualnie, średnie ceny benzyny oscylują w okolicach 5,60 zł za litr. Zmian należy wypatrywać od wtorku. Jak twierdzą ekonomiści, źródła obniżek można doszukiwać się w rosnących szansach na pokojowe rozwiązanie konfliktu w Syrii.”

Przykładowo zamieszczone tutaj zwroty zostały zaczerpnięte z wielu podsłuchanych rozmów, jednocześnie usunięto z nich słowa powszechnie uznane za wulgarne, bo czasami wy-

pełniają całą rozmowę. Chciałbym dotrzeć do jądra tej subkultury i pokazać jak następuje „lasowanie umysłu” u młodego człowieka, który może już nigdy nie dotrzeć do pięknego literackiego języka polskiego. Z tych dziwnych słów można ułożyć słowniczek pełny aktualnych pojęć współczesnego slangu określonej grupy młodych Polaków i dopisać własny komentarz, który jest jednoznaczny.

Rozmówca podpisujący się jako Filutek wypowiada się: „Typiara - oczywiście, że tak się mówi. Na tej samej zasadzie, jak mówi się o facie typ, np.: no co za typ! I tak samo: w sumie nawet byłem przygotowany i wszystko umiałem, a ta typiara postawiła mi lacza, że niby nie wiedziałem tego i tego! A ja nie pochodzę z marginesu społecznego!”

Inny rozmówca natomiast mówi: „Większość rzeczy się zgadza, ale nigdzie nie słyszałam, żeby ktoś nazywał dziewczynę typiarką, chyba tylko na slamsach się tak mówi. Nie słyszałam też o narciarzu i beczaju - może w zbyt dobrym towarzystwie się obracam?! Jeśli chodzi o zakończenia słów z „ą”, to kwiatki typu „zagranico” powstały dzięki inwencji twórczej użytkowników portalu Wykop.pl i są to formy mocno prześmiewcze, które rzadko są używane w życiu codziennym. Jeśli to ma znaczenie, podam też słowa, których się w moim kręgu używa *xD*, więc tak: wannabe, mainstre-

amowy (przeciwieństwo hipsta), tró (pisane przez „ó”), mieć fazę na coś, tulu, imedżiny, waifu&husbando, kyaa, nerd, foreva, nators. Jest to podobno środowisko fanów japońskiej animacji w przedziale wiekowym 13-17. Rozumiem LOL, YOLO itp. Ale kto mówi typiara? Nie, no serio. Zresztą ok, slang istnieje itp, ale nie zastępuje niczego.”

Inny rozmówca wyjaśnia: „SWAG jest dla ciebie ŻENADA”. Dalej mówi: „Z niedorozwiniętym się szybciej dogadasz. Ja jestem w wieku „tak pomiędzy” i większości tych zwrotów nie używa absolutnie nikt, a jeżeli, to rzadko się zdarza, żeby ktoś użył więcej niż 2-3 na 5 minut rozmowy. Większość tych słów to stare zwroty jeszcze z 90. lat ubiegłego wieku (spoko nie pojawiło się za sprawą hip-hopowców, tak na marginesie), reszta to jakieś pokemoniarskie teksty dzieci w sieci, których też używano dziesięć lat temu masowo. Skrótownice typu: lol, wtf, btw. były używane na początku ery smsów (sms - krótkie wiadomości tekstowe), w necie też są przydatne.”

Komentarz dorosłej osoby: „Smutne jest to, że większość tych młodzików nie ma pojęcia o otaczającym ich świecie. Niby są tacy mądrzy, a jak dojdzie co do czego, to udają idiotów. Noszą te rajbany, brody, udają że są dorośli, a tak naprawdę są tylko dużymi dziećmi.”



Jedyny komentarz, jaki znalazłem o rozmowach prowadzonych przez nastolatki, to wypowiedź młodego człowieka: „Za hajs matki baluj to jest idiotyzm moim zdaniem, ja jak coś chciałem, to musiałem zarobić sobie sam i dzięki temu teraz sobie radzę, teraz te dzieciaki biorą hajs, a jak rodzice umrą, to nie będą wiedzieli jak się poradzić. Brak słów. Wstydę się za ludzi, którzy nie mają własnego zdania i idą za modą, która jest żenująca, jak patrzę na to, to się śmieję, jakim to trzeba być niedowartościowanym człowiekiem, żeby gadać jak jakiś debil i ubierać się jak [...] będąc facetem, mało tego, każdy nagle jest wielkim poetą, wypisuje jakieś śmieszne wiersze na fejsie [...] czytam to [...] każdego dnia i się zastanawiam, czy on/ona nie ma o czym wypisywać cały dzień na fejsie albo na telefonie.”

Czy to jest nowa subkultura i slang, o którym można by było dużo pisać? W słowniku języka polskiego PWN czytam, że slang, nazywany też socjolektem, to potoczna odmiana języka używana przez jakąś grupę zawodową lub środowiskową. Od zawsze był charakterystycznym elementem wyróżniającym młodych ludzi. Jest potrzebny do określenia swojej tożsamości i poczucia wspólnoty z rówieśnikami. Czytając to przypominają mi się wypowiedzi zasłużonych nauczycieli języka polskiego, którzy tłumaczą to zjawisko jako chorobę wieku dziecięcego i twierdzą, że prawie każdy przez nią przechodzi. Ale kiedy wypowiada się już absolwent politechniki, skądinąd doświadczony już 50-letni inżynier i stosuje młodzieżowy slang jako swoje życiowe posłannictwo? Można to tłumaczyć tylko dziecięcym infantylizmem.

Byłem też zaskoczony, jak wielce szanowana instytucja kulturalna w realizowanym programie edukacyjnym dla gimnazjów gminnych, używała na plakacie słów angielskich określających podobno obowiązujący slang, ale jednak niezrozumiały dla młodzieży wiejskiej. Użyła określenia „cool”, co w dosłownym tłumaczeniu znaczy zimny, chłodny, a nie fajny czy dobry, tak jak chcieli autorzy plakatu. Młodzież wiejska nie ma takich nawyków jak miejska, uczy się języka angielskiego i poprawnie go stosuje. Do końca nie wiedziała, o co chodzi z tym „cool” na plakacie. Młodzież z dużych miast stosuje to karkołomne słownictwo i pewnie nie do koń-

ca wie, co chce nam zaprezentować i pokazać?

Można przeciwstawić tym wszystkim zagrożeniom języka ojczystego osoby, które na co dzień są zaangażowane w obronę ojczystej mowy. Są to naukowcy, językoznawcy, nauczyciele, poloniści. 21. lutego przypada Międzynarodowy Dzień Języka Ojczystego. Został ustanowiony przez UNESCO w 1999 roku, dla upamiętnienia wydarzeń z 1952 roku w miejscowości Dhaka, obecnej stolicy Bangladeszu. Zginęło wówczas pięciu studentów, którzy domagali się nadania językowi bengalskiemu statusu urzędowego.

Pierwsze obchody Międzynarodowego Dnia Języka Ojczystego zorganizowano w Polsce jedenaście lat temu. Tegoroczne hasło święta brzmi: „Wysokiej jakości edukacja, język(i) nauczania a efekty edukacyjne”. Podkreśla ono znaczenie języka ojczystego dla jakości edukacji i różnorodności językowej oraz realizacji nowej agendy na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030. Cytuję słowa sekretarza generalnego Polskiego Komitetu do Spraw UNESCO, prof. Sławomira Ratajskiego: „Stąd musimy dbać o nauczanie języka i w języku, tym najbliższym każdemu człowiekowi po to, żeby dać mu możliwość zdobycia na tyle wysokiej edukacji, wiedzy i umiejętności, aby w pełni uczestniczyć w rozwoju społecznym”. Obchody te mają na celu podkreślenie różnorodności językowej świata, promocję wielojęzyczności, a także zwrócenie uwagi na liczbę języków zagrożonych i ginących.

Prof. Ratajski tłumaczy, że chronimy języki po to, by nie zagubić tożsamości kulturowej.

Naukowcy szacują, że w historii ludzkości istniało około 13. tysięcy języków. Jednak wraz z upływem wieków niektóre z nich zaniknęły i obecnie na świecie używa się od 6. do 7. tysięcy. Dokładne ustalenie ich liczby utrudnia brak zgody wśród językoznawców, co do klasyfikacji niektórych języków jako odrębnych. Przeważająca część języków świata pozostaje w formie niepiśmiennej. Najwięcej ludzi - ponad 1 miliard 700 milionów - posługuje się językiem angielskim. Drugie miejsce zajmuje chiński, którego obecnie używa około 1 miliard 400 milionów ludzi. W pierwszej dziesiątce znalazły się również języki: hindi, arabski, hiszpański,

francuski, rosyjski, portugalski, bengalski i japoński. A jak prezentuje się język polski? Szacuje się, że jest językiem ojczystym około 45 milionów ludzi. W różnym stopniu zna go niemal 50 milionów ludzi na świecie.

„Quo vadis” - powieść historyczna Henryka Sienkiewicza będzie lekturą Narodowego Czytania w 2016 roku. W latach 1895 - 1896 została opublikowana najpierw w odcinkach w warszawskiej „Gazecie Polskiej” oraz w krakowskim dzienniku „Czas” i „Dzienniku Poznańskim”, a następnie wydana w formie druku zwartej. Premiera odbyła się w Krakowie w 1896 roku. Powieść odniosła światowy sukces i została przetłumaczona na ponad pięćdziesiąt języków.

Tradycja „Narodowego czytania” to akcja zainicjowana przez prezydenta Bronisława Komorowskiego, mająca popularyzować fundamentalne w polskiej kulturze dzieła, wzmacniać poczucie wspólnej tożsamości, a także promować kulturę żywego słowa w jej najdoskonalszych przejawach. Narodowe Czytanie zainaugurowała w 2012 roku lektura „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza. W 2013 roku w całej Polsce odbyło się wspólne czytanie dzieł Aleksandra Fredry, w 2014 roku - „Trylogii” Henryka Sienkiewicza, a w ubiegłym - „Lalki” Bolesława Prusa. W tym roku po raz pierwszy Polacy mogli sami dokonać wyboru. „Chłopi” Władysława Reymonta, „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej, „Wesele” Stanisława Wyspiańskiego, „Popioły” Stefana Żeromskiego oraz „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza - to pięć propozycji, z których mogli wybrać dzieło do piątej edycji Narodowego Czytania.

Napisałem ten artykuł, bo jestem wielce z troskany o czystość i przyszłość języka polskiego. Nasuwają się pytania: czy akcyjne działania społeczne, nawet samego prezydenta, wystarczą na napór wulgarności, ułomnego pokrętnego anglo-słownictwa oraz slangu młodzieżowego, które dzięki portalom, mediom, filmom polskim i innym publicznym przedstawicielom opanowują polską mowę i stają się negatywnym wzorcem dla młodego pokolenia Polaków? Kiedy nasza telewizja, pozostałe media zastanowią się i wprowadzą cenzurę dotyczącą poprawności stosowanego języka, przekazywanych tekstów i doboru właściwego programu?

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Najlepszą nagrodą jest radość podopiecznych

Rozmowa z Markiem Królem – dyrektorem Domu Pomocy Społecznej w Machowinku.



- W tym roku zorganizowany został dwunasty już Bal Charytatywny na rzecz mieszkańców Domu Pomocy Społecznej w Machowinku. Imprez odbyła się w lutym w Gościńcu Doliny Charlotty i udało się zebrać prawie 16 tysięcy złotych, które zostaną spożytkowane na zorganizowanie wypoczynku letniego dla pensjonariuszy. Jakie cele przyświecały organizacji pierwszego balu?

- Chcieliśmy pozyskać środki spoza budżetu, który był wówczas bardzo skromny, na wyposażenie pracowni terapii zajęciowych oraz naszych grup w materiały do codziennej pracy. Potrzebne były na przykład farby do malowania na szkle, które były bardzo drogie. Z czasem nasze cele stawały się ambitniejsze. Postanowiliśmy finansować lub współfinansować z Państwowym Funduszem Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych turnusy rehabilitacyjne dla naszych pod-

opiecznych w najlepszych terminach i w najlepszych ośrodkach w kraju. Chcieliśmy wysłać najsprawniejszych mieszkańców naszego domu w góry, organizować jedno i kilkudniowe wycieczki, wyjazdy na festiwale, przeglądy artystyczne, zawody sportowe. Naszym stałym obowiązkiem jest dbanie o poprawę życia codziennego podopiecznych i wizerunek naszej placówki. Pierwszy bal odbył się w 2004 roku, w nieistniejącym już Zajeździe przy ulicy Szczecińskiej w Słupsku. Przyniósł dochód w wysokości około trzech tysięcy złotych. Zebrane pieniądze pochodziły wyłącznie z licytacji prac wykonanych przez mieszkańców naszego domu oraz przekazanych nam prezentów. Gościem honorowym był ówczesny przewodniczący Rady Powiatu Słupskiego Janusz Grzybowski, a licytację i zabawę poprowadził Arkadiusz Mięczewski.

- Kto zajmuje się organizują bal?

- Wszystkie dotychczasowe bale zostały zorganizowane przez zespół pracowników Domu Pomocy Społecznej w Machowinku, którzy założyli Stowarzyszenie „Przyjaciół”. Ma ono charakter lokalny, a jego głównym celem jest wspomaganie podopiecznych naszego domu. Oczywiście, odpowiedzialność za ewentualne potknięcia ponosi zawsze dyrektor domu, a także prezes założonego stowarzyszenia. Do tej pory wszystko układało się jednak dobrze, ale bez pomocy naszych przyjaciół, takich jak na przykład Mirosława Wawrowskiego z Doliny Charlotty i wielu firm współpracujących z nami, nie udało by się zorganizować tylu edycji bali.

- Kto uczestniczy w balach i ile pieniędzy zebraliście do tej pory? Na co zostały one przeznaczone?

- Uczestnikami naszych bali mogą być wszystkie osoby, które wykupią zaproszenia. Zawsze z radością witamy wszystkich gości. Szczególnie mili nam są ci, którzy uczestniczą w balach już od lat. Oni sami corocznie pytają o termin kolejnej imprezy. Coraz liczniejsza jest grupa naszych przyjaciół, których zapraszamy imiennie. Rangę imprezy podnosi honorowy patronat starosty słupskiego i to od pierwszych edycji. Od drugiego balu w 2006 roku uczestników podejmujemy w Gościńcu Doliny Charlotty, gdzie wspiera nas wspomniany już Mirosław Wawrowski i jego zespół. Dzięki temu, po opłaceniu wszelkich kosztów, zysk przeznaczamy na beneficjentów naszych działań i może być on większy niż kwota pochodząca wyłącznie z prowadzonej licytacji.

- Kto czuwa nad finansami i sprawnie rozlicza wszystkie bale?

- Robi to nasza starsza księgowa, która nieodpłatnie prowadzi również księgowość stowarzyszenia. Po pierwszym balu doposażyliśmy pracownię plastyczną za sumę około trzech tysięcy złotych. Edycje balu od drugiej do dwunastej przyniosły łącznie 169.221,72 złotych. Rekordowy był

2014 rok, kiedy zebraliśmy ponad 21 tysięcy złotych. Właśnie wtedy otrzymałem z rąk rodziców jednego z naszych mieszkańców piękne słowa podziękowania za dotychczasowe starania.

- Kieruje pan Domem Pomocy Społecznej w Machowinku już piętnaście lat. Co przynosi panu największą satysfakcję z tej pracy?

- Największą nagrodą dla mnie i dla mojego zespołu jest radość naszych podopiecznych, w tym szczególnie pań poruszających się na wózkach inwalidzkich. Te ostatnie dzięki naszym balom mogły w Jaworzynce podziwiać zielone Beskidy po czeskiej i słowackiej stronie. W Wiśle doszło do spotkania z Adamem Małym. Duża była radość także z pobytu w Ustroniu i Cieszynie, gdzie nasi podopieczni wyjeżdżali kilkakrotnie, przywoząc od tamtejszych przyjaciół koronkarskie wyroby na licytację na następnych balach. Niezapomniane wrażenia przywieźli również z III Europejskiej Integracyjnej Spartakiady Osób Niepełnosprawnych w Wągrowcu, gdzie rywalizowali z zawodnikami między innymi z Niemiec i Anglii.

- Gdzie jeżdżą jeszcze wasi podopieczni?

- Dzięki balom mogliśmy dofinansować turnusy rehabilitacyjne w: Jarosławcu, Dusznikach-Zdroju, Zakopanem i Mielnie. Zwiedzaliśmy Ojcowski Park Narodowy i Kraków. Zorganizowaliśmy kilkudniowe pobyty na Kaszubach w Sulęczynie, w ośrodku Ostrów-Mausz. Poznaliśmy okolice Skierniewic. Zorganizowaliśmy niezliczoną ilość wycieczek jednodniowych, m.in.: do Symbarku, Gdańska, Gdyni-Oliwy, Torunia, Szczecina i Łeby. Wielokrotnie gościliśmy w parkach wodnych w Jarosławcu, Darłównie i Redzikowie. Finansowaliśmy też wyjazdy na zawody olimpiad specjalnych, m.in. w Gniewie oraz przeglądy artystyczne w różnych rejonach kraju. Zakupiliśmy sprzęt do rehabilitacji czynnej: rowery, kijki do nordic walking, trampolinę. To wszystko dzięki hojności naszych przyjaciół - uczestników bali. Jeszcze raz wszystkim za to serdecznie dziękuję.

Rozmawiał:

Mariusz Smoliński, Słupsk

Zginą pszczoły – zginie życie

Prof. Jerzy Wilde, kierownik Katedry Pszczelnictwa Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie twierdzi, że licznik ginących pszczoł w Polsce ostatnio wykazuje liczbę 105 na sekundę i idzie już w miliony.

To nie pierwsza moja publikacja na tematy związane ze światem przyrody i pewnie nie ostatnia. Sporadycznie w mediach ogólnopolskich, w Dzienniku Bałtyckim Polska the Times, w wydaniu Dziennika Powiatu Bytowskiego - Nasze Miasto, także w Tygodniku Miasteczkim, gdzie mam stałe rubryki, w kolejnych informacjach o pogodzie przekazuję wiadomości przyrodnicze. Wykształcenie, praktyka, zainteresowania, w końcu samo życie docierające z różnych kierunków, pomagają spojrzeć na sferę natury bardziej przenikliwie. Rozwój i ekspansja techniki, a w jej efekcie rosnąca konsumpcja, czyni z naszego siedliska - ziemi tygiel konfliktogennych interesów. Prowadzi to do permanentnego uszczuplania naturalnych zasobów oraz przyspieszonej degradacji gatunków. Czy tak być musi? Wydaje się, że niekoniecznie. Niestety, jak wiemy, tak się jednak dzieje.

Niedawno zadzwonił telefon od mojego syna Michała. Z troską w głosie powiadomił mnie o słabnącej kondycji swoich rodzin pszczelich. Dzielił się ze mną swymi obserwacjami, wiedząc, że jestem synem pszczelarza, odnanzonego najwyższymi w Polsce tytułami i odznaczeniami pszczelarskimi. Alarm nosi tytuł: Giną pszczoły! Co się dzieje?... Ojciec mój był właścicielem 100-pniowej pasieki, a jednocześnie posiadając kwalifikacje rzeczoznawcy chorób pszczelich leczył pszczoły u innych pasieczników. Ze swej skutecznej działalności (korespondował z miesięcznikiem Pszczelarstwo) znany był w co najmniej dwóch ówczesnych województwach. Moje młode lata to wiele dni pracy w pasiekach mojego ojca. Pięćdziesiąt lat temu, jak pamiętam, zmartwień przysparzały: choroba kwarentannowa, zwana zgnilcem złośliwym („kiślica”) oraz nosema (+Nosemoza) wywołana przez pasożyta pszczoł, a dopiero kilkanaście lat później - warroza,



Fort. J. Maziejuk

powodowana przez Varroa destructor (pajęczak zwany pchłą pszczelą) odżywiający się krwią owada.

Jakkolwiek te pierwsze schorzenia były już opanowywane, to walka z warrozą stawała się niezwykle uciążliwa, szczególnie w jej pierwszej fazie, kiedy brakowało dostatecznej wiedzy o pasożycie. Brakowało też środków, natomiast szybkość rozprzestrzeniania była znaczna. Późniejsze szkolenia i mobilizacja samych pasieczników zaczęły wyhamowywać ekspansję pasożyta. Po paru latach zaczęto stosować specjalne plastry nasączone substan-

cją, stosowano zadymiania i selekcję negatywną. Miało się ku poprawie.

Warroza występuje do dziś, ale w pasiekach jest skutecznie zwalczana. Trudności w skutecznej eliminacji pasożyta dostarcza sam pasożyt lokalizujący się na czerwiu (larwy owada) zamkniętym (zasklepionym wieczkiem z wosku) w komórce plastra, a także zabieg chemizacyjny w okresie sezonu intensywnej pracy pszczół. Produkty pracy pszczół takie, jak: miód, mleczko pszczele, pyłek, propolis i jad, wykorzystywane są przez ludzi nie tylko

- czterech latach wyginie ludzkość.

Otóż, wiadomość od syna nie jest nowością. Sygnałów, a nawet alarmów, że coś niedobrego dzieje się w świecie owadów zapylających jest więcej, a docierają z wielu stron świata. To zjawisko ze wszech miar globalne. Na trwogę, jak na razie, uderzają sami pszczelarze. Ostatni, w 2012 roku uliczny protest w Warszawie pod hasłem „Chrońmy pszczoły” wskazywał na niekorzystne warunki chowu i ich hodowli w Polsce, na sprzeciw, by nie dopuszczać do użycia niektórych środków ochrony roślin szkodliwych dla tych owadów. Domagano się również całkowitego zakazu upraw roślin zmodyfikowanych genetycznie, które zdaniem uczestników marszu, przyczyniają się do zmniejszenia liczby pszczół.

Jak sięgam pamięcią do okresu minionego, jeszcze z PRL, to już wtedy pszczelarze narzekali na szereg hamulców w rozwoju pszczelarstwa w Polsce. Narzekał też mój śp. ojciec śląc uwagi, prośby, petycje i skargi, tak w imieniu swoim, jak i braci pszczelarskiej. Niewiele to pomogło. Obecnie zagrożona jest cała populacja tych pożytecznych owadów.

Pszczoła (Apis) rodzaj z rodziny pszczołowatych (Apidae), obejmująca nadrodzinę (Apoidea), zrzesza w sobie 20 proc. wszystkich gatunków błonkówek. Większość ludzi nie ma pojęcia o istnieniu wszystkich; myśli się tylko o tej, żartobliwie nazwanej, „pszczołką mają” (pszczoła miodna - Apis mellifera), a to tylko jeden gatunek spośród blisko 30 tys. gatunków pszczołowatych. Znanе powiedzenie: nie było nas, był las należy rozszerzyć na pszczoły: był las, były i pszczoły. Przeżyły wieki, a nawet wytworzyły nowe gatunki. Emigrowały do nas z Afryki, zasiedlając obecne tereny, przystosowały się do chłodniejszego klimatu, dając tutejszą rasę pszczół rodzimych, tzw. środkowoeuropejską.

Pszczoły zapylają blisko 80 proc. gatunków roślin mających znaczenie w bazie pokarmowej człowieka. Według prof. Bolesława Jabłońskiego - motylkowe od 47 do 99 proc., rzepak do 33 proc., grykę do 62 proc., warzywa do 98 proc., nasienne od 33 do 90 proc. truskawki do 22 proc., maliny do 29 proc., (owoce są słodsze i dorodniejsze), agrest do 73 proc., porzeczkę czarną do 93 proc., drzewa owocowe do ponad 90 proc., nawet samopylne śliwy i wiśnie do 58 proc. Niestety, wielu rolników i ogrodników

w Polsce lekceważy oraz nie dba o obecność rojów pszczelich w pobliżu upraw, mając z tego powodu znacznie niższe plony. Wspomniany mój syn Michał stwierdził, że od kiedy ma pszczoły w ogrodzie, drzewa owocowe zasypały go swymi plonami.

Na Zachodzie Europy i w USA pszczelarz za jeden rój na plantacji otrzymuje od rolnika 100 dol. za sezon. W USA w ostatnich latach oceniono wartość zapylania na 10 mld dolarów. Zapylanie to nie tylko plony, to także wartość kreatywna i zachowawcza, zapewnia równowagę między gatunkami rodzimymi oraz nowymi w ekosystemie, zapobiega przyspieszonej erozji gatunków, wzbogaca, i upiększa środowisko świata zwierząt, świata człowieka.

Na naszym terenie, prócz pszczoły miodnej rolę zapylacza sprawują pszczoły dziko żyjące, trzmiele i samotnice, np. pszczolinka (Andrena clarkella), która jest mniejsza od pszczoły miodnej i należy do pszczolinkowatych (Andrenidae). W Europie występuje ok. 200 gatunków tych owadów o różnej wielkości, niektóre są nawet większe od pszczoły miodnej. W Polsce, jak specjaliści szacują, jest ich ponad 450 gatunków. Owady te, kopiąc jamki w ziemi do kilkudziesięciu centymetrów, gniazdują samotnie, lecz nie można zachłystywać się ilością gatunków, jedynie ich liczniejszymi koloniami, gdyż nie tworzą one społeczeństw. Tu ciekawostka: pewnego dnia, późną jesienią, przyniosłem z ogrodu kilka doniczek z amarylisem; umieściłem je na okres zimy w mieszkaniu. Jakież było zdziwienie, kiedy po pewnym czasie w pokoju zaroilo się od owadów; z doniczek wyfrunęły pszczolinki czyniąc w pokoju brzęk i zamieszanie. Niektóre doczekały wiosny odzyskując wolność.

Wiele z tych pożytecznych owadów znajduje się już w polskiej czerwonej księdze zwierząt (księga ginących gatunków). Samotnice (pszczolinki), jak zaobserwowano, mają na szczęście duże zdolności przystosowawcze, m.in. świetnie czują się w miastach, gdzie rośnie ich różnorodność gatunków; tam, bowiem, mają szansę uniknąć groźnych dla nich totalnych oprysków.

Dla lepszego obiektywizmu należy dodać, iż apokaliptyczne stwierdzenie Alberta Einsteina podyktowane było zjawiskiem masowego ginięcia pszczół w latach dwudziestych ub. wieku. Spowodowała to zaraza przywleczo- na na całe terytorium Europy z Wiel-



leczniczo. Jednakże, największym dobrem pracy tych owadów, w efekcie zapylania, są plony wielu gatunków roślin entomofilnych (zapylanych przez owady), niezbędnych dla zachowania gatunków zwierząt, w tym człowieka. Na co dzień nie zdajemy sobie z tego sprawy, albo nie chcemy o tym wiedzieć. Trudno odmówić racji jednemu z najsłynniejszych fizyków wszechczasów, nobliście, Albertowi Einsteinowi (1879 - 1955), który stwierdził, iż człowiek i świat istnieć będą dopóty, dopóki żyją pszczoły. Miał nawet powiedzieć, że po wyginięciu pszczół, po dwóch

kiej Brytanii. Powodowało ją rozto-cze świrdraczka pszczelego (*Acarapis woodi*). Wówczas przyczynę znano, natomiast obecnie jest ona niejedno-znaczna. Zjawisko masowego ginie-cia całych rodzin pszczelich (pszczoły znikają bez wieści, w ulu zostaje tyl-ko matka i młode) określone mianem syndromu CCD (Colony Collapse Di-sorder - Gwałtowna, Destrukcyjna Za-paść, Załamanie Kolonii) zaobserwo-wano w USA w 2002 roku i z każdym rokiem narasta. Trudno tam odbudo-wać straty, gdyż rocznie ginie do 35 proc. rodzin pszczelich, co w niektó-rych stanach, jak się podaje, daje straty rzędu 90 proc. pszczelej populacji. W ostatnich kilku latach w Niemczech i Francji straty z tego powodu osiągnęły 40 proc. populacji. W Polsce pierwsze sygnały do Oddziału Pszczelnictwa w Puławach dotarły (z południowej czę-ści Polski) w końcu 2008 roku.

Odbudowa populacji rodzin pszczelich w pasiece jest możliwa tyl-ko wówczas, kiedy straty wynoszą do 20 proc., a i tak odbywa się to kosz-tem reszty pasieki. Odbudowie tak-iej sprzyja wielkość 200-250 rojów w pasiece. W Polsce gro zawodowych pasieczników posiada do 100 rojów, więc strata kolejnej rodziny czyni nie-opłacalność tego przedsięwzięcia.

Trwają gorączkowe poszukiwania czynników wywołujących syndrom CCD, by wykryć głównego sprawcę. Podejrzewano, a ostatnio po badaniach już nieco mniej, telefonię komórkową, choć emitowane fale elektromagne-tyczne nie są bez znaczenia dla czułych receptorów owada. Wskazano również na źródła osłabiające odporność takie, jak: inwazja wspomnianych pasożytów - *Varroa destructor*, *Nosema apis*, *No-sema ceranae*, a także zatrucia pesty-cydami, zwłaszcza z grupy neonikoty-noidów zawierającymi imidacloprid lub wolną nikotynę. Imidacloprid uży-wa się do ochrony roślin, m.in. przed mszycami, także na plantacjach bur-aków cukrowych, z których później, w postaci dużej dawki cukru dostaje się do organizmu małej pszczoły dezorga-nizując jej system nerwowy. Pszczoła w ten sposób traci orientację i zdolność porozumiewania się z innymi pszczo-łami, nie potrafiąc znaleźć powrotnej drogi do swojego ula. Trzeba zazna-czyć, że czynnik ten nie ma praktycznie znaczenia dla większych konsumen-tów, a więc i człowieka. Dodam, iż w Niemczech i Francji wprowadzono za-kaz sprzedaży imidaclopridu.

Niektórzy z badaczy wskazują na takie czynniki stresogenne, jak zmia-ny spowodowane globalnym ocie-pleniem, a także na wprowadzane do uprawy rośliny genetycznie modyfiko-wane (GMO). Choć wydaje się to nie-prawdopodobne, to trzeba wiedzieć, że pszczoły są wyjątkowo czuły na bio-wskaźnikami. Z roślin modyfikowanych największe znaczenie, biorąc pod uwa-gę nasze warunki, mają dwie: rzepak (nektar + pyłek) i kukurydza (pyłek). Badania w Wielkiej Brytanii wykazały, iż uprawy roślin transgeniczných po-zbawiły w znacznym stopniu otoczenie roślin dwuliściennych - głównych żywi-cieli owadów i ptaków na rzecz jednoli-ściennych, i to na dalsze dwa - trzy lata. Uprawa rzepaku wg nich, spowodo-wała wyginiecie 2/3 populacji motyli i znacznej ilości pszczoł. Rzepak posia-da w sobie kwas erukowy (tłuszczowy), jeśli jest go zbyt dużo, potrafi szkodzić zwierzętom, hamując ich wzrost i ata-kując serce. Dlatego w sprzedaży jest olej rzepakowy pochodzący z uszla-chetnionej odmiany niskoerukowej, nie zagrażającej zdrowiu.

Rośliny zmodyfikowane mają geny wytwarzające substancje prze-ciwno szkodzącym im owadom i chwastom. Paradoksalnie, szkodzi to również pożytecznym owadom. Tak duża ingerencja człowieka (syndrom wygody i dostatku) miast zapobiegać klęskom głodu, do takiej klęski mo-że doprowadzić. Nie wystarczy mieć pełne magazyny soi i kukurydzy, kie-dy braknie innego pożywienia.

Warto zauważyć, że rośliny mody-fikowane miały ograniczyć chemizację, a uodporniły na nią niektóre chwasty, nie wspominając o prostych organi-zmach żywych, na których badania trwają. Opinie na ten temat wciąż są niejednoznaczne, np. Uniwersytet w Wurzburgu wykazał w badaniach, że pyłek ze zmodyfikowanej kukurydzy nie szkodzi larwom pszczoł. Ale tylko larwom, a reszcie populacji? Nie przy-padek, że tam, gdzie przybywa od-mian transgeniczných wzrasta stopień znikania błonkoskrzydłych (ostatnio w Chinach). Syn Michał, mgr inż. zoo-technik, mówi: „pszczoły moje sta-ją się niemrawe, wygląda to tak, jak-by gruczoły ich nie pracowały i nie wytwarzały odpowiednich enzymów trawiennych”. Przypomniałem tu so-bie informację na temat nietoperzy w Stanie Nowy York, które masowo wy-ginęły w ostatnich latach, a u pozosta-łych osobników zaobserwowano osła-

bienie systemu immunologicznego i zniszczony system trawienny.

Z innych czynników mogących mieć wpływ na dramatyczny spadek populacji pożytecznych owadów, nie-którzy wskazują na IAPV (wirus izra-elskiego paraliżu pszczoł - wykryty w 2004 roku u padłych osobników spro-wadzonych z Australii) oraz kaszmirski wirus paraliżu pszczoł.

Jakkolwiek by nie sumować, jeste-śmy w stanie alarmującego, gwałtownego spadku populacji pszczoł i owa-dów pokrewnych, co rodzi zagrożenie w produkcji żywności i całej ludzko-ści. Szacowanie strat i zysków jest tu nie na miejscu. Wartość zapylania i utrzymywania różnorodności biolo-gicznej jest bowiem bezcenna. Jeśli coraz mocniej ingerujemy w organi-zmy żywe, ukształtowane milionami lat, celem ich szybszego poprawiania na naszą modłę, nie możemy tracić nad tym kontroli, ponieważ w konse-kwencji zgubimy samych siebie.

Powszechnie znany jest sposób, w jaki obecnie zapyla się wanilię. Otóż, z braku owadów, czyni to człowiek, ręcznie przenosząc pyłek między kwia-tami. Efekty mizerne, a ceny wanilii idą w górę. Moje maliny ostatnio za-pylają już tylko... osy i dzięki ich pracy mam trochę owoców. Trzmieli jest na lekarstwo, a pszczolinki i pszczoły od dwóch lat zniknęły. Obserwuję rów-nież spadek populacji motyli. Wystar-czy rozejrzeć się wokół. Wiadomo-ści płynące z dalszych terenów oraz ze świata są przygnębiające: rozbieżność interesów, krótkowzroczność, igno-rancja i niekompetencja, a także, zwy-czajnie, zła wola, opóźniają racjonalne działania. Jako fachowiec, uważam, że jest to wezwanie nas wszystkich do pil-nego działania na rzecz lepszego jutra. Nie pomogą metody doraźne poprzez tworzenie sztucznych ostoi owadów, czy nawet importu pszczoł (USA), jeśli masowo one giną już na całym świecie, a my wykazujemy bezradność wobec zagrożenia. Prof. Jerzy Wilde, kierownik Katedry Pszczelnictwa Uni-wersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie twierdzi, że licznik ginących pszczoł w Polsce ostatnio wykazuje liczbę 105/sek. i idzie już w miliony.

Łańcuch, pszczoły - rośliny - zwie-rzęta - człowiek, pęka. Jeśli się rozsypie, to koniec życia na Ziemi. To kwestia nieodległego czasu, na co wskazał ge-nialny uczony, Albert Einstein. Baczmy zatem pilnie i nie tracmy czasu.

Piotr Wiktor Grygiel, Jasień

„Kaziuczek Niemencyński”

Już po raz dwudziesty siódmy w centrum Niemenczyna zaszalał lokalny kiermasz „Kaziuczek Niemencyński”. Jarmark staje się coraz bardziej popularny i bez względu na pogodę, każdego roku ściąga na ulicę Święciańską tłumy handlujących i kupujących.



Fot. J. Bożęrska



Fot. R. Sudenis

Jak poinformował Mieczysław Borysewicz, starosta miasta nad Wiłą, władze gminy wydały 55 zezwoleń na handel kaziukowy, a do Niemenczyna przybyli ze swymi wyrobami goście z Poswola, Poniewieża, Kowna, Podbrodzia, Święcian oraz Wilna. Oczywiście swoje wyroby na jarmarku 12 marca sprzedawali również mieszkańcy Niemenczyna i okolic.

- Życzę dobrego, wiosennego nastroju, nowych pomysłów i niebanalnych idei - powiedziała podczas ceremonii otwarcia jarmarku posłanka Rita Tamašunienė, starosta frakcji AWPL w Sejmie. Handlarzom życzyła drogo sprzedać, kupującym tanio kupić, a wszystkim dobrze się zabawić.

Na jarmark z zespołem „Wiza” z Podbrodzia przybył również jej kole-

ga z ławy poselskiej - Zbigniew Jedziński. Po raz pierwszy specjalnie na „Kaziuczek Niemencyński” przyjechała delegacja z powiatu słupskiego ze starostą Zdzisławem Kołodziejskim i Janem Olechem - przewodniczącym Rady Powiatu Słupskiego.

- Naszym unikatowym świętem są tzw. „pokopki”, czyli święto zakończenia sezonu kopania ziemniaków, z upraw których powiat słupski słynie - powiedział Z. Kołodziejski, zapraszając organizatorów „Kaziuczka” na tę ludową imprezę.

Miejscowi „złоторęczni” proponowali toporzyśka, plecione kosze, rączki do młotków, kosowiska, szpakówki i karmniki dla ptaków, miotły i miotelki, czyli tzw. wieniczki do łaźni. Smakosze mogli nabyć wędli-

ny, różnego rodzaju wyroby piekarnicze i cukiernicze, ryby wędzone z nadmorskiej miejscowości Rusnė, a gospodynie patelnie i garnki żeliwne z Ukrainy.

Nikołaj Drobyszewski z Podbrodzia zachęcał do kupna naczyń i pojemników z drewna. Jak powiedział: - Dłubaniem w drewnie zajmuję się od ponad dwudziestu lat i jestem stałym bywalcem kiermaszów kaziukowych w Wilnie i Niemenczynie.

Młodzi bracia stryjeczni z Pogir - Tomasz Mickiewicz i Romuald Bujel, na kiermasz przywieźli oryginalne wiatraki, studzienki oraz obracające się świderki. Wiatraki - zależnie od rozmiarów - kosztowały od 65 do 135 euro. Po kilku godzinach kilka sprzedali.

Stalymi bywalcami „Kaziuczka Niemencyńskiego” są członkowie Wileńskiego Klubu Włóczęgów. Sprzedawali „pestki przywołujące wiosnę”, „babeczki z fantazją” oraz „blinkujące palce lizać”.

- Nasz kiermasz stwarza okazję nie tylko do kupna - sprzedaży, ale też do spotkań rodzinnych i przyjacielskich, a ponadto jest zachętą i bodźcem dla majsterkowiczów, którzy nie zawsze potrafią odnaleźć się na dużym Kaziuku w Wilnie - nie krył zadowolenia M. Borysewicz, gospodarz i organizator tradycyjnego kiermaszu.

Zygmunt Źdanowicz, Niemenczyn



Fot. R. Sudenis



Krajoznawstwo słupskie

Wypożyczalnia sprzętu wodnego przy ulicy Wandy funkcjonowała do pożaru w 1959 roku, a z jej usług korzystał między innymi późniejszy papież Karol Wojtyła.

Chcąc pokrótce przedstawić historię siedemdziesięciu lat Słupskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, koniecznie należy sięgnąć pamięcią do jego korzeni. Kluczowym słowem jest „krajoznawstwo”, słowo, które przechodzi ewolucję, od: zbioru wiedzy o regionie, kraju, przez ruch społeczny rozwijany w formie turystyki dążącej do gromadzenia i upowszechniania wiedzy o ojczyźnie. Bardziej współczesne „edukacja regionalna”. Aby właściwie pojąć wiedzę, trzeba poznać swoje miejsce życia dzięki własnemu doświadczeniu.

Badacze problematyki krajoznawczej w Polsce dopatrują się korzeni rodzimego krajoznawstwa sięgających czasów Jana Długosza w XV wieku. W dziejach historii Polski pełniło ono rolę nie tylko poznawczą, ale wzięło na siebie również zadania związane z edukacją narodową i patriotyczną oraz przyczyniło się do pielęgnowania tożsamości narodowej.

Polskie Towarzystwo Krajoznawcze powstało w 1906 roku, jego założycielem był między innymi Zygmunt Gloger, pedagog i przyrodnik. Jednym z głównych celów było pokazanie, zwłaszcza młodzieży piękna ziemi ojczystej. Ale to nie ono było pierwszą organizacją o charakterze turystyczno-krajoznawczym, jaka powstała na ziemiach polskich. Było nią Galicyjskie Towarzystwo Tatrzańskie założone w 1873 roku. W 1874 przyjęło nazwę Towarzystwo Tatrzańskie. Skupiło się przede wszystkim na zagospodarowaniu Tatr i innych polskich gór.

Po drugiej wojnie światowej rozwiązano oba towarzystwa. Szesnastego grudnia odbyły się zjazdy obu organizacji, które podjęły niezależne uchwały o ich samorozwiązaniu. Już jednak następnego dnia grupa prywatnych osób powołała Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze - jako spadkobiercę tradycji i dorobku ideowego, a także następcę prawnego majątku obu rozwiązanych towarzystw.

Prezydium Zarządu Głównego na posiedzeniu w Krakowie, w maju 1946 roku podjęło uchwałę o uruchomieniu sieci oddziałów P.T.K. na Ziemiach Odzyskanych, w tym oddziale słupskiego. Powstał on 10 maja 1946 roku z inicjatywy Marii Bukowskiej, Jadwigi Mielczarskiej i Leona Pilawskiego - nauczycieli słupskich szkół, z siedzibą przy ulicy Stalina 6 (obecnie ulica Tuwima 6). Jego historia trwa już siedemdziesiąt lat.

W Biuletynie P.T.K. z czerwca 1946 roku umieszczono następującą informację o Oddziale P.T.K. w Słupsku: „Pięknym miastem jest Słupsk, położony na Ziemiach Odzyskanych, a włączony obecnie do województwa gdańskiego. Stare miasto otoczone jest wspaniałymi plantami zwanymi tu wałami. Wokół Wałów położone są piękne zabudowane dzielnice miasta, mało zniszczone, a połączone ze sobą linią tramwajową. Stare miasto, szczytujące się pięknymi budowlami z dawnych wieków, jest niemal doszczętnie spalone. Ocalały mury miejskie,

baszty: ruiny świątyń dadzą się odbudować. Nowe miasto posiada nowoczesne urządzone hotele, zasobne restauracje. Słupsk staje się dla krajoznawstwa i turystyki interesującym obiektem, który winien być licznie odwiedzany. W tym oto mieście powstał Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, którego Zarząd przystąpił do pracy."

W Biuletynie P.T.K. z lipca 1946 roku poznajemy skład pierwszego zarządu. „Prezes - rejent - Trybalski Zbigniew, wiceprezes - prok. - Wilemborek Jan, Członek zarządu - inż. Bukowski Witold, Skarbnik - mgr Marholis Michał, Sekretarz - E. Lada, Cybulski."

W Biuletynie P.T.K. z marca-kwietnia 1947 r. czytamy: „Oddział P.T.K. w Słupsku (Pomorze Zachodnie) zarejestrował 4 Koła Krajoznawcze Młodzieży Szkolnej. W planie pracy Zarządu Oddziału przewiduje się uruchomienie hotelu turystycznego w Słupsku, domu turystycznego w Ustce nad morzem, zorganizowanie kursu dla przewodników wycieczek, opracowanie i wydanie przewodnika po Słupsku i okolicach. Dom turystyczny w Ustce ma być uruchomiony w najbliższym sezonie letnim. Przyczynić się do tego mają również Oddziały P.T.K. w Szczecinie i Gdańsku. Dom znajdujący się naprzeciw placówki Orbisu posiada dobre warunki na pełne wykorzystanie go w sezonie wycieczkowym."

W 1949 roku wydano pierwszy przewodnik turystyczny „Słupsk i okolice” pod redakcją Józefa Staśko. W Biuletynie P.T.K. ze stycznia 1949 roku czytamy: „Nowy Zarząd Oddziału P.T.K. w Słupsku ukonstytuował się w sposób następujący: A. Żukowski - przewodniczący, por. Grad - zastępca przewodniczącego, dyr. Wojtacki - sekretarz, Pietkiewiczówna - skarbnik, członkowie Zarządu - red. Graczyk, dr Modrzejewski, insp. Nowak, dyr. Sieradzan, Tatta, M. Zaborowska. W planie działalności poza normalną działalnością krajoznawczą Zarząd postanowił zorganizować na miejscu turystykę narciarską i wodną."

W 1950 roku słupski oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego został przekształcony w oddział Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Pierwszym prezesem został Władysław Korzon. Siedziba mieściła się przy obecnej ulicy Tuwima, a społecznym kierownikiem

biura był Bronisław Panasiuk. Drugim prezesem został Władysław Tatta, a jego zastępcą Władysław Żelichowski. W tym też roku przejęto od Szkoły Milicji za kwotę 400 tys. zł nieruchomości w Słupsku przy ulicy Szarych Szeregów 1. W obiekcie tym został uruchomiony Dom Wycieczkowy.

W 1951 roku Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Słupsku podjęło uchwałę o przekazaniu P.T.T.K. nieruchomości przy ulicy Szarych Szeregów 1 tytułem rekompensaty za nieruchomości w Kołomyji w województwie stanisławowskim. Pracownicy oddziału oraz jego członkowie skupiali się na rozwoju turystyki kwalifikowanej - pieszej i szkoleniu przewodników. W 1954 roku powstała wypożyczalnia sprzętu wodnego na przystani rzeki Słupi przy ulicy Wandy. Funkcjonowała do pożaru w 1959 roku, a z jej usług korzystał między innymi późniejszy papież Karol Wojtyła. W 1962 roku oddział uruchomił przystań żeglarską w Gardnie Wielkiej i dom wycieczkowy. Przy oddziale powstało Biuro Usług Turystycznych, które prowadziło działalność w zakresie turystyki wypoczynkowej i wycieczkowej, przede wszystkim dla dzieci i młodzieży. Prowadzone były szkolenia przewodnickie oraz obsługa wycieczek przez przewodników.

Ważnym etapem rozwoju słupskiego Oddziału P.T.T.K. był rok 1975 i utworzenie województwa słupskiego. Czwartego czerwca powołano Zarząd Wojewódzki P.T.T.K. w Słupsku, Słupski Oddział P.T.T.K. oraz podległe Zarządowi Wojewódzkiemu P.T.T.K. Oddziały w Sławnie, Miastku, Lęborku, Człuchowie, Bytowie, Ustce przy Stoczni oraz przy Wyższej Szkole Pedagogicznej w Słupsku.

W latach 1975 - 1991, które należy uznać za najkorzystniejsze dla działalności towarzystwa zanotowano największą liczbę członków, szkolenych kół P.T.T.K., organizowanych i oprowadzanych wycieczek. Bogusław Huczyński i Albin Orłowski - przewodnicy podjęli się wytyczenia, oznakowania i opisanie dziewiętnastu szlaków pieszych. Przewodnik ich autorstwa ukazał się w 1985 roku. Sukcesywnie prowadzono konkursy krasomówcze dla szkół podstawowych i średnich, a przewodnicy słupscy brali udział w ogólnopolskich konkursach krasomówczych.

Do kalendarza ogólnopolskich imprez wpisały się: rajd szlakami Sło-

wińskiego Parku Narodowego i regaty żeglarskie na jeziorze Gardno. W 1991 roku w związku z wejściem w życie nowego prawa o stowarzyszeniach oraz zmianą statutu P.T.T.K. nastąpiło przekształcenie Zarządu Wojewódzkiego w Słupsku, w Regionalny Oddział P.T.T.K., który objął swoim zasięgiem: ziemię bytowską, człuchowską, lęborską, miasteczką, sławieńską oraz słupską. Zarząd Wojewódzki oraz oddziały terenowe uległy likwidacji. Regionalny Oddział stawiał jako cel swojej działalności rozwój krajoznawstwa, szczególnie wśród dzieci i młodzieży. Umilowanie do ziemi słupskiej, w słowach i i czynach przekazywali grupom miłośnikom regionalnej turystyki członkowie i przewodnicy P.T.T.K.: Maria Zaborowska, Jadwiga Mielczarska, Leon Pilarski, Maria Bukowska, Włodzimierz Tatta, (...) Tyborski, Kazimierz Świdorski, Michał Serafin, Czesław Feder, Jerzy Fiderer, Kazimierz Ostrega, Józef Cieplik, Stanisław Szpilewski, Krystyna Marczyk, Krystyna Szkudlarek, Zofia Wypisniak, Wojciech Tomosz, Franciszek Nadolny, Kazimierz Kielan, Stanisław Hirsch, Władysław Lachowicz, Jan Byczkowski, Michał Miszputen, Edmund Krajewski, Brygida Solnikowska, Tadeusz Markowski, Zenon Koziański i wielu innych.

Obecny urzędujący Zarząd (wybrany na kadencję 2013 - 2017) to: prezes - Andrzej Gorski, wiceprezesi - Edward Adamkiewicz, Tadeusz Krawczyk, skarbnik - Jerzy Stefaniak, urzędujący sekretarz - Janusz Grabowski - pracujący w oddziale od 1968 roku, członkowie Zarządu: Joanna Orłowska, Urszula Strzykowska, Barbara Rożek, Andrzej Demczak, Antoni Taraszkiewicz, Mariusz Zielonka, Łukasz Marszałek. Prezesem Komisji Rewizyjnej jest Jan Oleszkiewicz, prezesem Sądu Koleżeńkiego - Lech Pawłowski.

Regionalny Oddział P.T.T.K. od lat współpracuje z Urzędem Miejskim i Starostwem Powiatowym w Słupsku, ze szkołami ze Słupska i powiatu słupskiego, Urzędami Gmin w Smołdzinie, Ustce i Damnicy, Słowińskim Parkiem Narodowym, Pomorskim Zespołem Parków Krajobrazowych, Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku oraz jego Oddziałami w Kłukach i Swołowie, Ligą Ochrony Przyrody i Miejską Biblioteką Publiczną.

Joanna Orłowska
Słupsk

Roztańczone gospodynie

Koło Gospodyń Wiejskich z gminy Bobowo w powiecie starogardzkim zwyciężyło w XIII Turnieju Kół Gospodyń Wiejskich Województwa Pomorskiego. Jak powiedziała podczas otwarcia turnieju Krystyna Gierszewska – przewodnicząca Wojewódzkiej Rady Kobiet, w bieżącym roku minęło 150 lat, jak na Pomorzu powstała pierwsza organizacja kobieca.

Oficjalnego otwarcia turnieju, który po raz pierwszy został zorganizowany w powiecie słupskim, dokonali: Krzysztof Trawicki – wicemarszałek województwa pomorskiego, Zdzisław Kołodziejski – starosta słupski, Barbara Dykier – wójt gminy Słupsk, Aleksander Mach – dyrektor Pomorskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego w Gdańsku i Krystyna Gierszewska – przewodnicząca Wojewódzkiej Rady Kół Gospodyń Wiejskich.

To właśnie przewodnicząca zwróciła uwagę, że jezierzycki turniej zorganizowano w roku jubileuszowym. Sto pięćdziesiąt lat temu bowiem, konkretnie w marcu 1866 roku w Piasiecznie koło Gniewu na Pomorzu, Juliusz Karzewicz założył pierwszą kobiecą organizację pod nazwą Towarzystwo Gospodyń, której przewodniczącą została Januaria Kulksteinowa. Organizacje szybko zyskiwały popularność i znaczenie nie tylko w środowisku wiejskim, stały się pierwowzorem dzisiejszych kół gospodyń wiejskich. – I choć wiele się zmieniło na przestrzeni tych stu pięćdziesięciu lat, to kobiety wtedy i dzisiaj dbają o rodzinę, dom, pielęgnują tradycje swoich przodków i są motorem życia kulturalnego swoich wsi – mówiła Krystyna Gierszewska. – Dzisiaj pokażą nam częsteczkę swoich umiejętności wokalnych, aktorskich. Razem z nimi i za ich przyczyną świętować będziemy kunszt i zwyczaje kulinarne, gwarę, haft i stroje regionalne z całego Pomorza. A jubileuszowe obchody 150-lecia KGW odbędą się w Pielplinie 18 czerwca – już dziś wszystkich na nie zapraszamy.

W turniejowej rywalizacji uczestniczyło czternaście kół gospodyń wiejskich wyłonionych podczas eliminacji powiatowych. Gospodynie mierzyły się w pięciu konkurencjach: produkt tradycyjny – pierogi (z dowolnym farszem), tablica – „Z tego powodu rozpiera nas duma” (z komentarzem); moda – sukienka z papieru gazetowego, piosenka kabareto-



wa z inscenizacją – „Przez dziurkę od klucza”, taniec ludowy mojego regionu. (do własnej muzyki). Oceniało je jury składające się ze znawczyń wiejskiego kunsztu, w tym przedstawicielki zwycięskiego koła w ubiegłym roku – z Nowej Karczmy w powiecie kartuskim. Poszczególne konkurencje przeplatane były występami artystycznymi. Na scenie wystąpił zespół „Bierkowianki”, Cheerleaders Maxi Energa ze Słupska i Redzikowa oraz zaprezentowała się Słupska Grupa Tancieczna „Arabeska”. Ta ostatnia swoimi brawurowo wykonanymi tańcami rozbawiła chyba do granic możliwości licznie zgromadzoną publiczność w jezierzyckiej hali sportowej.

Było barwnie i gwarnie. Tego dnia dominowały kolorowe stroje ludowe, w których przyjechali zarówno dorośli, jak i dzieci. Ekipy kibiców z poszczególnych powiatów zachęcały swoje koła do rywalizacji. Swoją grupę dopingującą miały także „Kępiczanki”, które mogły liczyć na wsparcie m.in. Magdaleny Gryko –

burmistrz Kępicy i jej zastępcy – Macieja Chaberskiego.

Wszystkie koła przygotowały swoje stoiska promocyjne. Znalazły się na nich potrawy charakterystyczne dla pomorskiego regionu: pierogi, przetwory z mięs, sałatki, zupy, ciasta. Można było też spróbować domowej roboty nalewek. Gdy konkurencje turniejowe dobiegły końca, a jurorzy poszli obradować i wybrać najlepsze koło, popularny zespół One Moment z Ustki porwał koła i publiczność do wspólnej zabawy. Tańcowi nie oparł się nawet wicemarszałek Krzysztof Trawicki, który za partnerkę wybrał sobie Barbarę Dykier – wójt gminy Słupsk.

Zanim jury ogłosiło wyniki turnieju Maciej Chaberski – wicewójt Kępicy powiedział: – Występ „Kępiczanek” stał na bardzo wysokim poziomie, zresztą podobnie jak pozostałych kół. Wiadomo, że przy ocenie nie będę obiektywny, ale występ naszych kobiet podobał mi się najbardziej. Jeżeli miałbym wybrać konkurencję,

która zrobiła na mnie największe wrażenie, to byłby to taniec. Ten wykonany przez „Kępczanki” był zupełnie inny niż pozostałe. Wyróżniał się swoją oryginalnością, ale także doborem muzyki. Była to świetna konkurencja. Odnosząc się do kulinarnej części turnieju, muszę powiedzieć, że jestem fanem pierogów od bardzo, bardzo dawna. Ich smak był jak zwykle rew-



Fot. J. Maziejuk

lacyjny. Dobrze oceniam także kreację z gazet. Sukienek było mnóstwo, ale nasza wyróżniała się wspaniałym kapeluszem i innymi dodatkami.

Uroczystości wręczenia nagród towarzyszyli sygnaliści z Technikum Leśnego w Warcinie. W kategorii kulinarnej zwyciężyło Koło Gospodyń Wiejskich z Gnieźdźewa w powiecie puckim. Z tablicą najlepiej zaprezentowało się KGW z Czernina w powiecie sztumskim. Najpiękniejszą sukienkę z gazet wykonało KGW ze Świerzenka w powiecie bytowskim. W piosence kabaretowej z inscenizacją najwyżej zostało ocenione KGW z Wielkiego Klińcza w powiecie kościerskim, a w tańcu ludowym - KGW z Chwaszczyna w powiecie kartuskim. Grand Prix przyznano Kołu Gospodyń Wiejskich z Bobowa w powiecie starogardzkim. Zdobywca Grand Prix i zwycięzcy poszczególnych kategorii odebrali cenne nagrody rzeczowe i finansowe, które miały wielu fundatorów, wspierających ten rodzaj rywalizacji kół.

Karolina Wróbel - przewodniczącą jury po zakończeniu turnieju powiedziała: - Cały turniej oceniam bardzo dobrze. Wszystkie koła zaprezentowały wysoki i wyrównany poziom. Wykazały się kreatywnością i pomysłowością. Każda z konkurencji wymagała od pań wszechstronnego zaangażowania. Myślę, że przede wszystkim to należy docenić. Najwyżej oceniam konkurencje artystyczne, bo wymagają wielogodzinnego, a czasami wielotygodniowego przygotowania. Myślę przede wszystkim o tańcu ludowym i występach kabaretowych. Te konkurencje z pewnością wymagały od pań największego zaangażowania. A dlaczego wygrało Koło Gospodyń Wiejskich z Bobowa? Tak zdecydowała komisja. Podkreślę, że wygrało jednogłośnie. Wypadło najlepiej we wszystkich konkurencjach. Każdy w komisji uznał, że Bobowo postawiło bardzo wysoko poprzeczkę swoim konkurentom. Chciałabym podkreślić jeszcze, że był to jeden z najlepiej przygotowanych turniejów o randze wojewódzkiej. Następny organizator będzie miał nie lada zadanie, żeby taką organizację powtórzyć.

Zdzisław Kołodziejski, starosta słupski. - Cały turniej przebiegał wspaniale. Fantastycznie się bawiliśmy, a to dzięki temu, że zespoły były świetnie przygotowane. Publiczność żywiołowo reagowała. Oby tak było zawsze, oby kolejny turniej wojewódzki był tak dobrze przygotowany, bo - przyznam - potraktowaliśmy w powiecie słupskim organizację wojewódzkiego turnieju bardzo poważnie i bardzo zaangażowaliśmy się w jego przygotowanie. Ale opłacało się, bo impreza się udała. Osobiście mam duży sentyment do tego rodzaju rywalizacji kół. Od dawna jestem przekonany, że jest ona im bardzo potrzebna, daje możliwość zaprezentowania swoich różnorodnych umiejętności, w tym bardzo trudnych, wymagających też ogromnej odwagi - prezentacji artystycznych. Ale te najbardziej mobilizują koła do aktywności.

Krzysztof Trawicki - wicemarszałek województwa pomorskiego: - Wychowałem się w gronie kół gospodyń wiejskich. Moja mama była związana z tym środowiskiem. Była kierowniczką ośrodka „Praktyczna Pani”, gdzie gospodynie uczyły się gotować, piec, wyszywać i - jak to się kiedyś mówiło - krawcować. Dorastałem w tym klimacie. Podczas prze-

obrażeń ustrojowych wydawało się, że to wszystko wygaśnie, ale na szczęście tak się nie stało. Kiedy zostałem po raz pierwszy wójtem gminy Zblewo w 1998 roku rozpoczęła się reaktywacja wiejskich organizacji kobiecych. Wtedy w naszej gminie były tylko trzy koła, a teraz jest już ich tyle, ile sołectw - siedemnaście. Bardzo dobrze oddziaływają na środowisko, ożywiają. Dodatkowo pojawia się rywalizacja między kołami, swoista konkurencja, ale też różnorodność działań, pomysłów. Dzisiaj mieliśmy tego dobry przykład. Patrząc na przygotowane stoły, każde koło czymś się wyróżniało. Ponadto z roku na rok występy gospodyń są coraz barwniejsze. To, co mnie zdumiało podczas tej edycji turnieju, to konkurencja związana z wykonaniem i prezentacją sukienek balowych z gazet. Nieprawdopodobnie coś pięknego. Chciałbym taką suknię zamówić żonie na któryś bal. Zrobiłaby furorę. Podziwiam panie uczestniczące w turnieju, jestem też pod dużym wrażeniem wspaniałej organizacji. Jak coś jest organizowane cyklicznie, to każdy się stara być lepszym od poprzednika. Po raz pierwszy gościliśmy w powiecie słupskim i były pewne niewiadome, ale kapitalnie sprostano tu wszystkim wymaganiom. Widać też dynamiczny rozwój kół gospodyń na tym terenie. Podkreślałem to w rozmowie z panią wójt Barbarą Dykier i z panem starostą Zdzisławem Kołodziejskim. Widać też, że coraz częściej do gospodyń garną się panowie. U mnie był nawet taki przypadek, że szefem koła gospodyń wiejskich został pan. Kołem Gospodyń Wiejskich w Małym Bukowcu kierował sołtys. Myślę, że na pomorskich wsiach jest wielu panów, którzy chętnie pomagają paniom i angażują się w sprawy wiejskie.

Głównymi organizatorami tegorocznego turnieju byli: Samorząd Województwa Pomorskiego, Pomorski Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Gdańsku, Wojewódzki Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych w Gdańsku, Starostwo Powiatowe w Słupsku, Urząd Gminy Słupsk i Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku. Organizacja turnieju była dofinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach Planu Operacyjnego Krajowej Sieci Obszarów Wiejskich Województwa Pomorskiego na lata 2016 - 2017.

Mariusz Smoliński, Słupsk

Czytelnictwo w mrocznych latach i internet

Mroczne lata głębokiej „komuny” mają oficjalnie dwie narracje: pierwsza, dominująca, opowiada o tamtym czasie jako zbrodniczym systemie, „a towarzyszą jej takie hasła – klucze, jak: reżim, UB, stalinizm, cenzura, socrealizm, więźniowie polityczni, stan wojenny, ZOMO.” Ten schemat narracyjny preferuje Instytut Pamięci Narodowej, wprowadzając jego elementy do polityki i edukacji. Oczywiście, wątki zamknięte w słowach hasłowych pozwalają zrozumieć tamtą, często tragiczną, rzeczywistość.



Obok jest drugi sposób opowiadania o szarym, mrocznym czasie. Wciąż do pokolenia PRL-u przemawiają filmy Stanisława Barei z całym bagażem gorzkiego humoru i sarkastycznej kpiny z absurdów ówczesnej rzeczywistości. Wciąż tamten czas jest punktem odniesienia do zmian, których wspólnie i z trudem dokonujemy, często wzajemnie się oskarżając.

Krzysztof Tomasik, w artykule „Trzeci wymiar PRL-u” zauważył, że obok agresywnej ideologii i polityki trwało najbardziej zwyczajne życie milionów ludzi, którzy pracowali, kochali się i kłócili, żenili, chrzcili i wychowywali dzieci, spotykali się i chodzili do kościoła.

Był to również najlepszy czas, biorąc pod uwagę całe półwiecze, rozwoju polskiej sztuki filmowej, teatru, w tym teatru telewizji, oświaty, a przede wszystkim czytelnictwa. Szczególnie popularne były reportaże, powszechnie znano nazwiska ich autorów:

Hanny Krall, Ryszarda Kapuścińskiego, Doroty Terakowskiej i młodszych: Joanny Siedleckiej, Teresy Torańskiej, Małgorzaty Szejnert. Pełną parą pracowały wydawnictwa Czytelnik i Iskry, publikując książki najlepszych pisarzy. Po pierwsze polskie wydanie „Ulissesa” Jamesa Joyce’a z 1969 roku (nakład 300 tys. egzemplarzy) przed księgarnią PIW ustawiła się długa kolejka, co odnotowała popularna w tamtym czasie Polska Kronika Filmowa. Na wsi prenumerowane były niemal powszechnie „Gromada Rolnik Polski” i „Przyjaciółka”, które do domu przywoził listonosz na rowerze. W każdej wsi była szkoła, biblioteka lub choćby punkt biblioteczny, koło gospodyń wiejskich i zlewnia, jeśli ktoś jeszcze pamięta jaka była jej formalna i nieformalna rola.

W małej wiejskiej bibliotece w 1954 roku w osobiście spisywanej pismem odręcznym kronice odnotował wyda-

nia tego czasu. Nie do przecenienia jest wartość dokumentarna jego zapisów wzbogaconych fotografiami autora. Nie ma w „Kronice” Romana Zuba retuszu ani w zapisie, ani w fotografii. Rzeczywistość tamtych lat oglądana z dzisiejszej perspektywy z jednej strony daje obraz przedziwnej scenografii: portretów „wodzów”, hasel, gazetek ściennych; na tym nieprawdopodobnym tle autor przedstawia zdarzenia, których i dziś można pozazdrościć: entuzjazmu i uczestnictwa w kulturze. Roman Zub był przede wszystkim bibliotekarzem, dlatego w jego kronice ta działalność jest najlepiej udokumentowana. Był ponadto animatorem zespołów muzycznych, organistą, wiejskim fotografem, pszczelarzem, czasem zegarmistrzem. W „Kronice” wzruszyła mnie kartka z 1954 roku, wzruszyła, zadziwiła i rozśmieszyła. W kilku zdaniach zawarł historię kraju, powiatu, wsi i bliskich mu ludzi.

Czytelnicy bibliotek wiejskich i gminnych spotkali się w Powiatowym Domu Kultury w Słupsku. Na zjazd do Słupska młodzi miłośnicy książek z Objazdy i Dębiny pojechali rowerami, co Roman Zub uwiecznił na fotografii. Biblioteka z Objazdy zajęła pierwsze miejsce w konkursie czytelniczym, kronikarz nie odnotował, jaka była nagroda. Natomiast zespół czytelniczy z Dębiny w nagrodę dostał szachy, a zespół czytelniczy ze Spółdzielni Produkcyjnej w Przewłocze z gminy Wytowno zdobył jako nagrodę... loszkę hodowlaną wartości 500 zł.

Indywidualnie nagrodzony został traktorzysta z Objazdy - Roman Suchodolski - otrzymał komplet narzędzi!

Nie dziwi nic. Wszyscy byli młodzi i w wiejskiej społeczności wszystko było potrzebne, wszystko sprawiało ra-

dość. Loszka jako nagroda w konkursie czytelniczym! Rozpadła się „młodzieżowa” spółdzielnia produkcyjna. Dokumenty przechowuje archiwum w Radzynie Podlaskim, jak informuje internetowa wyszukiwarka. Czas zatarł pamięć. Pozostał zapis w wiejskiej kronice. Albo komplet narzędzi dla traktorzysty! Roman Suchodolski pracował w miejscowym PGR do czasu jego rozwiązania, był ochotnikiem strażnikiem, żył skromnie i zawsze lubił czytać. W jego pogrzebie w ubiegłym roku uczestniczyła niemal cała wieś.

Socjolog kultury dr Mirosław Pęczak zauważył, że w „III RP czytamy mniej i w ogóle mniej korzystamy z

kultury wysokiej niż w PRL, bo wizja postępu cywilizacyjnego nie kojarzy się z książką, a z rozwojem technologii i internetem”.

Wydawcy prasy liczą na wzrost czytelnictwa wydań cyfrowych, znaczenie zdobywa „mozaikowa kultura cyfrowa z federacją nisz”. Wybory internetowych odbiorców kultury niezależnie od miejsca zamieszkania są suwerenne, nie uznają podziału na kulturę masową i wysoką. Współcześnie aktywne uczestnictwo w kulturze wiąże się z przyjmowaniem roli nadawcy. Coraz więcej jest piszących i publikujących w internecie i tych, którzy za własne pieniądze wydają książki.

Myślę, że spory o życiorysy największych pisarzy, w tym noblistów - Czesława Miłosza, o którym Henryk Berezka pisał: „sporadyczny poeta, mierny prozaik, biegły eseista, na Nobla może wystarczyć, na prawdziwą wielkość za mało, i Wisławy Szymborskiej, spory o wizję historii w powieściach dawnych, na przykład Henryka Sienkiewicza, i współczesnych, jak Olgi Tokarczuk i Tomasza Grossa - przyczyniają się do pogłębiania dystansu wobec literackich autorytetów, chociaż powszechnie wiadomo, że spory literackie nie są zjawiskiem naszej epoki, towarzyszyły literaturze niemal zawsze.

Współczesna kultura rozprawia się z mitami, w tym z żywym w powojennej rzeczywistości mitem inteligentem, deprecjonując ją z powodu chłopskiego czy robotniczego pochodzenia. Współcześnie „rolę inteligencji przejmują grupy osób bogatych, co nie znaczy, że wykształconych i kulturalnych. Zresztą poziom edukacji znacznie upadł w porównaniu nie tylko z okresem międzywojennym, lecz także z czasami PRL. Jednym z przejawów tego upadku jest zgoda na czytanie bryków zamiast powieści. „Brakuje przywódców duchowych kultywujących wartość ideałów nadających sens życiu poszczególnych pokoleń” - pisze Maria Szyszkowska w felietonie „Upadek polskiej inteligencji”.

Rozpada się elitarny model kultury; egalitarność, masowość, powszechność to znaki współczesności.

Anna Bojarska w ankiecie Kultury (Kultura, nr 7-8, 1992) pisała: „Kultura polska schowała się w myśnię dziurę. Kilka osób zdobyło rozgłos dzięki życzliwości tak czy inaczej pozyskanych mass mediów. (...) Ale jakiegokolwiek oceny i hierarchie pojawia się dopiero za kilka lat. Na razie nie ma o czym mówić. Świat wyszedł z wiązań, wszystko się rozleciało”.

Czy naprawdę jest aż tak źle? Upada czytelnictwo, wysoka kultura rozwija się w elitarnych niszach, wydziały humanistyczne na wyższych uczelniach tracą popularność, a ich absolwenci nie mają zajęcia. Czy kultura cyfrowa jest w stanie odpowiedzieć na najważniejsze pytania?

Nie znam odpowiedzi. Wiem tylko, że internet daje szansę dostępu do wielu bibliotek, a w zdigitalizowanej „Kronice Objazdy” papierowe karty nie rozpadną się, czarno-białe zdjęcia zachowają wartość dokumentu, a zapisy wyjdą poza wiejskie opłotki.

Czesława Długoszek, Objazda

1954

Kulminacyjnym punktem prac konkursowych IV etapu Konkursu był Powiatowy Zlot Czytelników Wiejskich zorganizowany na dzień 6.VI.1954 r. w Powiatowym Domu Kultury w Słupsku, w którym wzięli udział czytelnicy bibliotek gminnych i punktów bibliotecznych pow. słupskiego. W Zlocie wzięło udział ok. 130 czytelników. Bibliotekę w Objęździe reprezentowała kilkunastuosobowa grupa czytelników na 104 ogólnie zgłoszonych do konkursu.



Na zdjęciu drużyna kolarskie na trasie Objazda - Słupsk

I-miejsce w powiecie w Konkursie Czytelniczym zajęła Biblioteka w Objęździe.

Zespół czytelniczy z Dębiny gm. Wytonno otrzymał w nagrodę 1 komplet szachów.

Zespół czytelniczy przy Spółdzielni Pracy w Przewłocie - gm. Wytonno otrzymał loszkę hodowlaną wartości 500 zł (pod warunkiem, że będzie hodowana).

Ob. Suchodolski Roman - traktorzysta z gram. Objazda - aktywny członek Zesp. Czytelniczego otrzymał komplet narzędzi.

Czytelnicy z zespołów czytelniczych z Objazdy i z Dębiny zorganizowali dwie drużyny kolarskie biorące udział jednocześnie w Zlocie Czytelniczym oraz w Rajdzie Kolarskim. Dostali oni nagrody rzeczowe.



Uczestnicy Zlotu



Na środku stało biurko dla nauczyciela

Nic nie wiadomo o początkach szkoły w Objeździe, starożytnej wsi, o której pierwsze wzmianki pojawiają się już w końcu XIII wieku. Pewne jest natomiast, że w 1707 roku grabarz Paweł Kotz mieszkający obok kościoła, udzielał się jako nauczyciel w szkole niedzielnej.

Około 1760 roku szkoła była wizytowana, co odnotowano w kronice i co potwierdza informację, że budynek w centrum wsi służył w latach 1786 - 1852 jako szkoła, która w 1819 roku liczyła 28 dzieci, a do 1864 roku liczba uczniów wzrosła do 120. W związku z tym stało się oczywiste, że rozszerzenie budynku szkoły jest konieczne. W 1852 roku powstał nowy budynek, a w lecie 1886 roku działka szkolna została powiększona o około 50 arów darowanych przez właścicieli majątku Wobesde, Kutcherów. Dwa lata wcześniej we wsi wybuchła epidemia dyfterytu (błonicy). Jej skutki odnotował ówczesny nauczyciel Heinrich Steinke, który na polecenie starostwa zamknął szkołę. Mimo to zabrała czterdzieścioro dzieci, w tym dwóch synów nauczyciela.

Bielony budynek zachował pierwotną formę do 1931 roku. Wtedy

zmieniła się konstrukcja budynku szkolnego, który położony w centrum był ozdobą wioski. Jednym z najbardziej znanych nauczycieli był Theodor Scharnofske, który pracował w szkole 35 lat. Kiedy był pochowany 23 lutego 1930 roku w wieku 71 lat, cała wiejska społeczność stała przy trumnie, aby się z nim pożegnać. Od 1924 roku w szkole pracował też Paweł Scharnofske, a od 1928 Karl Maska. Był też nauczyciel znany tylko z imienia Thomas. W 1932 w trzystopniowej szkole uczyło się 119 uczniów w trzech klasach pod opieką dwóch nauczycieli. W okresie Rzeszy był tu Serwis Pracy, Departament 3/41, jego „Standort”. W 1945 nie wszyscy mieszkańcy wsi byli ewakuowani przed nacierającymi Rosjanami. Niektórzy uciekli na własną rękę. Tyle o historii szkoły w Wobesde, czyli w Objeździe zapisał niezastąpiony Pa-

gel (www.stolp.de/wobesde_einfuehrung.html?.../Wobesd...).

W czasie wojennej zawieruchy wszystko się zmieniło, a nowy porządek wyznaczały przede wszystkim pozmieniane w Jalcie granice państw. Wobesde, czyli Objazda weszła w skład przyznanych Polsce tzw. Ziemi Odzyskanych. Pierwszymi mieszkańcami wsi byli ci, którzy zdecydowali się zostać, jak na przykład Gustaw Schulz z rodziną, oraz Polacy, wojenni robotnicy przymusowi, następnie młodzi Niemcy, których gorące uczucia były silniejsze niż obawa przed nową rzeczywistością. Przez jakiś czas mieszkali często razem - ci którzy sposobili się do wyjazdu i ci, którzy gdzieś na kresach musieli opuścić swe domy. Wkrótce wieś zaludniła się na nowo. Przybywali osadnicy wojskowi, uchodźcy zza Buga i ci, którym było ciasno w rodzinnym domu. Już

latem 1945 roku przybywali pierwsi: spod Bydgoszczy, z Kielecczyny i innych stron.

Roman Zub, świetny kronikarz Objazdy, starannym odręcznym piśmem spisał najważniejsze zdarzenia, wśród nich informacje o szkole: „Pierwszym kierownikiem szkoły był ob. Bobrowski Wiesław i nauczyciel Tomaszewski. (...) Nauka w roku szkolnym 45/46 ruszyła pełną parą. W dwóch salach uczyło się już 6 klas.”

Pamiętam tę szkołę, mimo że naukę rozpocząłam kilka lat później. Potężny piętrowy budynek posadowiony był na niewielkim wzniesieniu wzdłuż ulicy na długości około trzydziestu metrów. Wchodziło się po schodkach do głównego wejścia, dzielącego budynek korytarzem na dwie części. Po prawej stronie były dwie izby lekcyjne z drewnianą podłogą, smarowaną raz w tygodniu jakimś czarnym mazidłem. W kącie stał zielony kaflowy

dziecięce doświadczenia, a nauczyciel był zdemobilizowanym żołnierzem, stąd i zasady życia szkolnego były specyficzne. Maria Henryka Grabowska, wówczas piętnastoletnia spostrzegawcza dziewczyna widziała romanse nauczyciela z młodymi Niemkami. Żołnierską fantazję szybko trzeba było poskromić. Wśród opiekunów młodzieży kronikarz Roman Zub wymienia ks. Jana Zięję, pierwszego proboszcza parafii Wytowno, do której należała Objazda. Z inicjatywy księdza w Objeździe powstała filia Uniwersytetu Ludowego działającego w Wytownie i Orzechowie Morskim, gdzie ks. Zięja wykładał nauki ścisłe według programu Wiedzy Powszechnej, oraz Uniwersytet Niedzielny. Wśród wykładowców byli dr Anna Minkowska, Paweł Kolański - powstaniec z Warszawy i jego żona. Roman Zub przyjechał z Krasnobrodu z grupą młodych i od razu włączył się

pani Kuropatwy. Do szkoły chodziłam dwa kilometry, czasem podczas deszczu lub zimą mama wiozła mnie na ramie roweru albo na sankach. Na kolejnych świadectwach szkolnych odnajduję nazwiska nauczycieli: Marii Tokarskiej, Marii Saracen, Józefy Przeworskiej, Lubomira Winnickiego, Wałęgi, a pamięć podsuwa kolejne: Marii Długosz, Hugona Bukowskiego, Kazimierz Rybaka i innych.

W roku 1963 szkołę przeniesiono do dawnego pałacu Kutscherów, posadowionego w parku z imponującym starodrzewem, z będącą przedmiotem troski konserwatora zieleni aleją grabową. Budynek nie spełniał obowiązujących wymogów przeciwpożarowych, zastrzeżenia zgłaszał inspektor sanitarny i inspektor pracy. Rozpoczęły się starania o budowę nowej szkoły, co wcale nie było łatwe w czasach, kiedy w kraju wszystko się wywracało. Jednak determinacja mieszkańców,

Zdjęcie przedstawia uczestników kursu dla analfabetów w Objeździe prowadzonego przez Kier. Szkoły ob. Rychtera (pośrodek), który zakończenie urządził w sali Domu Społecznego. Większość kursantów za dobrą pracę otrzymała nagrody książkowe. Było to w mies. maju 1950 r.



piec, na środku biurko dla nauczyciela, a na wprost, przodem do wejścia, stały dwuosobowe ławki z dziurą na kałamarz. Po lewej stronie korytarza zaraz przy wejściu znajdowały się drzwi do kancelarii, przez którą można było przejść do mieszkania nauczyciela. W głębi korytarza była szatnia i wyjście, na przestrzal, na prywatne podwórko nauczyciela, z oborą i szopą na opał.

W Objeździe polska szkoła powstała 17 stycznia 1946 roku. Pierwsi uczniowie mieli za sobą nie tylko

w organizowanie życia muzycznego; powstawały chóry, zespoły muzyczne i teatralne.

Jednocześnie trwały kursy dla analfabetów, zakończone egzaminem w maju 1950 roku. Dawny poniemiecki budynek stawał się za ciasny, mimo że przygotowano sale lekcyjne na pięterku, obok mieszkańek nauczycielskich. Wobec tego przystosowano do celów szkolnych budynek z czerwonej cegły pod numerem Objazda 1. W tym budynku jak sześciolatka z wyboru rozpoczynałam naukę pod opieką

nauczycieli, którzy dobrowolnie opodatkowali się na rzecz budowy, władz gminy, to wszystko zdecydowało, że szkoła powstała. Pierwszy etap, segment dydaktyczny, został oddany do użytku podczas Wojewódzkiej Inauguracji Roku Szkolnego 1993/1994. Piękna szkoła - nowoczesna, przestronna, z pełnowymiarową salą gimnastyczną i zapleczem socjalnym, dziś stanowi dumę mieszkańców i przedmiot troski kolejnych dyrektorów, nauczycieli i mieszkańców.

Czesława Długoszek, Objazda

Twórca uniwersalny

Będąc w nowym miejscu zawsze staram się zobaczyć to co jest najciekawsze. Zwykle to fotografuję, co pozwala mi później czerpać inspiracje do dalszej twórczości.



Fot. W. Lipczyński

Do twórców o dużym potencjale artystycznym można zaliczyć Tomasza Grońskiego. Obecnie jest rzeźbiarzem, ale często powraca do malowania obrazów, a był już scenografem teatralnym, plastykiem, pedagogiem-instruktorem. Dotychczasowe życie twórcy polegało na przyjmowaniu różnorodnych zleceń i wyzwań, w zależności od sprzyjającej sytuacji. Od urodzenia jest związany ze Słupskiem. Tutaj, już jako dziecko podejmował pierwsze próby wykorzystania swoich zdolności. Były to na początku zabawy z plasteliną albo kawałkiem kory. Później korzeniom nadawał artystyczny kształt. W podstawówce uczęszczał do szkoły ćwiczeń przy Studium Nauczycielskim i tu poszerzał swoje umiejętności. Od dzieciństwa interesował się rzeźbą i malarstwem. Marzył o Liceum Plastycznym im. Antoniego Kenara w Zakopanem, lecz okoliczności sprawiły, że ukończył Technikum Gastronomiczne w Słupsku. Następnie - Wyższą Szkołę Pedagogiczną na kierunku wychowanie plastyczne. Można jeszcze odnotować zawiloci związane

ze szkołą średnią. Zaczął naukę w Technikum Elektrycznym w Słupsku, potem uczęszczał do Technikum Hotelarskiego w Zakopanem. W końcu zdał egzamin maturalny w Technikum Gastronomicznym.

Zamiar uczęszczania do szkoły plastycznej się nie powiódł, bo ojciec - inżynier nie dopuszczał takiej myśli. Twierdził, że to nie jest zawód dla mężczyzny.

Z prawdziwą sztuką Tomasz Groński zetknął się już w szkole średniej. Zapisał się do Klubu Plastyka Amatora przy Wojewódzkim Domu Kultury w Słupsku. Prowadził go niesamowity już wówczas Stefan Morawski. Mile wspomina „Dziadka”, który tworzył fajną atmosferę. Przy koncertach skrzypcowych uczył tworzenia w glinie i drewnie. Zajęcia odbywały się w nieistniejącym już Starym Teatrze nad kinem Relax.

- Stefan Morawski był moim pierwszym nauczycielem, mentorem, krytykiem i autorytetem - mówi T. Groński. - W okresie studiów zaangażowałem się w życie słupskiej uczelni. W tym czasie w Słupsku utworzono, jak się potem

okazało, jedyny w historii uczelni, kierunek - wychowanie plastyczne. Z Markiem Andrzejewskim działaliśmy w Komisji Kultury Zrzeszenia Studentów Polskich. To były naprawdę ciekawe czasy. Utworzyliśmy m.in. kabaret „Studencka Scena Rozrywki”. Przygotowywaliśmy różne spektakle. Między in-



nymi wystawialiśmy sztukę Mrożka i braliśmy udział w przeróżnych przeglądach i konkursach.

Założenie rodziny i rozbudowa domu uniemożliwiały mu zajmowanie się sztuką. Przez prawie trzydzieści lat! Ale pracę zawodową zawsze łączył z zamiłowaniem do plastyki. Zatrudnił się m.in. w nowo powstałym Teatrze Muzycznym w Słupsku. Był kierownikiem pracowni plastycznej i reklamy. Przygotowywał scenografię m.in. do „Hamleta”, kiedy teatrowi dyktował Marek Grzeński. Prawie dwadzieścia lat pracował jako wice, a później dyrektor Osiedlowego Domu Kultury „Emka” w Słupsku. Wspomina: - Był to chyba najciekawszy okres mojego życia. Z Markiem Andrzejewskim i z gronem instruktorów pręźnie rozwijaliśmy życie kulturalne dużego osiedla. Mieliśmy mnóstwo pomysłów. Organizowaliśmy przeróżne koła zainteresowań, zespoły, pracownie, kluby. Gdy nastało nowe kierownictwo spółdzielni i kazano mi ograniczać to, co przez wiele lat wypracowałem, podziękowałem za współpracę. Otworzyłem własną małą firmę, którą prowadzę do dziś. Niestety, nie ma ona nic wspólnego z moimi zainteresowaniami artystycznymi. Ale moje pasje artystyczne nie ustały.

Teraz ciekawi go najbardziej rzeźbiarstwo. Malarstwo zostało jakby na uboczu. Dlaczego?

- Gdy mam w głowie temat i do dyspozycji kawałek drewnianego pnia, staram się wyobrazić sobie, co można z niego wydobyć. Robię parę

szkiców, a potem przy pomocy dłuta czy piły odrzucam to, co jest niepotrzebne i tak powstaje rzeźba. W malarstwie jest inaczej. Siadam przed białym płótnem, szkicuję obraz, maluję, a jak nie wyjdzie to mogę zmyć i zacząć od nowa. W rzeźbie nie ma takiej możliwości i trzeba kontynuować pracę, nawet gdy coś „ni z tego ni z owego” się oderwało. A ja lubię trudniejsze wyzwania.

W listopadzie ub. roku w kaplicy św. Jerzego w Słupsku wystawione były prace Tomasza Grońskiego, wśród nich rzeźba „Macierzyństwo” - wyróżniona w konkursie 2015 roku. Matka pokazana jest w otoczeniu swoich dzieci. Postać wyraża ciekawą ekspresję.

- Miałem możliwość obejrzenia wielu wspaniałych prac i nie ukrywam, że one mnie inspirują - mówi T. Groński. - Sporo podróżuję po Europie i zwiedzam najważniejsze muzea oraz galerie. Będąc w nowym miejscu staram się zawsze zobaczyć to co jest najciekawsze. Zwykle też fotografuję, co pozwala mi później czerpać inspirację do dalszej twórczości.

Tomasz Groński jest także autorem wystaw indywidualnych w Wojewódzkim Domu Kultury w Słupsku, przygotowanych w 1976 i 1984 roku przez samego Stefana Morawskiego. Wielokrotnie zdobywał nagrody



Fot. W. Lipczyński

w ponadregionalnym konkursie plastycznym „Niekontrolowany Obszar Wrażliwości”. W 2012 roku otrzymał m.in. nagrodę za rzeźby „Legenda Jeziora Bobęcińskiego”, a w 2015 - za rzeźbę „Macierzyństwo”. Ma jeszcze jedną pasję. Zajmuje się także renowacją starych mebli, ratuje je często przed spaleniem. - Przywracanie im pierwotnego wyglądu wcale nie jest łatwe, gdyż potrzeba do tego dużej wiedzy, cierpliwości i doświadczenia - mówi. - Bo wszystko trzeba robić ręcznie, używając szelaku, wosków. Trzeba stosować się do metod, którymi posługiwali się ebeniści - stolarze artyści już w XVIII i XIX wieku.

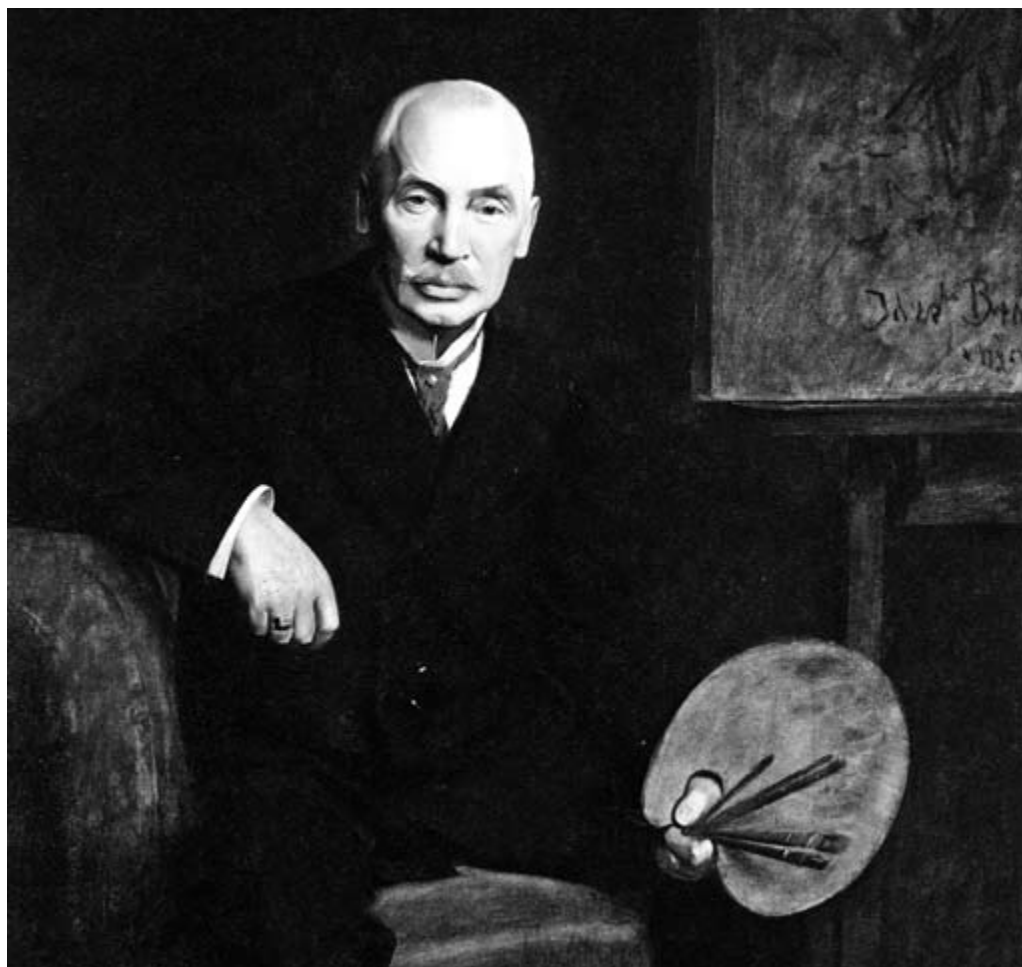
Włodzimierz Lipczyński, Słupsk



Fot. W. Lipczyński

Profesjonalista najwyższego lotu

Wybitni malarze o szczególnym dorobku dla kultury polskiej nie zawsze są należycie eksponowani i docenieni. Często pozostają w cieniu innych twórców.



Kunst artysty przemawia na ogół dziełami. Pozostawiony wielki dorobek jest oceniany czasem zbyt długo, ale wymierne kryterium, jakim są międzynarodowe aukcje obrazów i osiągane na nich ceny, określają faktyczną wartość pozostawionych dzieł. Józef Brandt jest wybitnym malarzem. Został starannie przygotowany do zawodu. Dorobek jego jest imponujący. Specjalizował się w scenach zbiorowych i rodzajowych. Czerpał tematy do swoich obrazów z wątków historycznych, z dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej. Podpatrywał obyczaje Kozaków, a szczególnie zajmował się malarstwem koni.

Pochodził ze spolonizowanej rodziny inteligenckiej, której w imię zasług nadano tytuł szlachecki i herb Przysługa. Urodził się 11 lutego 1841 roku w Szczepieszynie. Cztery lata później, w związku z nową posadą ojca, cała rodzina przeprowadziła się do Warszawy. W wieku pięciu lat stracił ojca i po ukończeniu szkoły średniej podjął studia w Paryżu. Miał zostać inżynierem po ukończeniu szkoły budowy mostów i dróg. Naukę rozpoczął w 1859 roku, ale pobyt w Paryżu zamiast zachęcić - zniechęcił go do studiowania technicznego zawodu. Studiując, jednocześnie pobierał lekcje malarstwa, muzyki i śpiewu. Fascynujący świat sztuki francuskiej

olśnił przyszłego artystę. Ostatecznemu wyborowi kariery zawodowej sprzyjała szczególnie znajomość z nieco starszym Juliuszem Kossakiem.

To on wprowadził Brandta w zagadnienia warsztatu malarskiego. Odkrywszy jego niepowtarzalny talent zaprowadził na lekcje do innych malarzy polskich i francuskich. Po rocznym pobycie w Paryżu, Brandt wrócił do Warszawy, by w towarzystwie Juliusza Kossaka uczestniczyć w wyprawie plenerowej na Ukrainę i Podole. Po powrocie została zorganizowana wystawa jego prac w nowo powołanym Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Była pierwszym sukcesem przyszłego artysty.

Prace zainspirowane kozackim i tatarskim folklorem cieszyły się przychylnością widzów i recenzentów. To upewniło ich malarza o potrzebie podjęcia regularnych studiów malarskich, które Brandt rozpoczął w 1862 roku w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Monachium. Był uczniem znanych batalistów i malarzy historycznych. Studiował pięć lat. Wykształcił swój odrębny, rozpoznawalny styl. Swoim talentem i ujmującą osobowością zdobywał sobie coraz większą popularność.

W 1870 roku założył własną pracownię malarską w Monachium. Od 1875 prowadził prywatną szkołę malarską i został przywódcą duchowym tzw. monachijskiej szkoły malarstwa polskiego. Stał się wziętym malarzem i odnosił również sukcesy komercyjne. Jest to okres najdojrzałszy w twórczości Brandta i przypada na koniec lat 60. oraz lata 70. XIX wieku. Wtedy spod pędzla artysty wyszły płótna nagradzane medalami na wystawach w Monachium, Paryżu, Lwowie, Warszawie i Krakowie.

Brandt był wspaniałym nauczycielem i przewodnikiem młodych adeptów sztuki. Wokół jego pracowni w Monachium powstało coś na kształt polskiej kolonii artystycznej. Związani byli z nią m.in.: Aleksander i Maksymilian Gierymscy, Alfred Kowalski, Tadeusz Ajdukiewicz, Wojciech Kossak, Leon Wyczółkowski. Artysta przyjeżdżał też często w rodzinne strony. Był rozpoznawany i pożądanym w każdym towarzystwie. W 1877 roku poślubił Helenę Pruszkową i odziedziczył majątek żony w Orońsku koło Radomia. Zaczął spędzać tam czas wiosną i latem, a jesienią i zimą brylował w monachijskim środowisku artystycznym.

Na początku lat 80. XIX wieku w twórczości J. Brandta zachodzi zmiana. Nad monumentalnym przedstawianiem historycznych bitew, zaczynają dominować kompozycje o mniejszych formatach. Trudno z ogromnego dorobku artysty wybrać wszystkie najważniejsze obrazy. Do takich niewątpliwie należą: „Alarm” (ok. 1880), „Pojmanie na arkan” (1882), „Potyczka ze Szwedami” (1878), „Walka o sztandar turecki” (ok. 1905), „Buńczuczny” (ok. 1885), „Husarz” (ok. 1890), „Towarzysz pancerny” (ok. 1890), „Strzelanie z łuku” (ok. 1885), „Składanie sztandarów” (1905), „Powrót z Wiednia” (ok. 1890), „Obóz zaporożców” (ok. 1880).

W wielu pracach pozbawionych narracyjnej opisowości, ze szczególną siłą ujawniła się kolorystyczna wrażliwość Brandta i mistrzostwo w odtwarzaniu partii pejzażowych. Dzięki prostocie kompozycji i wyciszzonej harmonii barw z jednorodnej gamy zgaszonych zieleni, brązów, błękitów oraz szarości, dają one wrażenie spokoju i zadumy, pokazując inne oblicze Brandta - subtelne go kolorysty, wrażliwego na piękno obserwowane w naturze.

Impresyjny, delikatny sposób opracowania partii pejzażowych na płótnach Brandta daleko odbiega od jego skłonności do precyzyjnego, niekiedy wręcz nużącego ukazywania szczegółów. W widokach krajobrazu artysta pragnie przede wszystkim pochwycić ulotne wrażenie, utrwalić na płótnie tylko to, co najważniejsze dla określenia specyfiki natury.

Charakterystyczne są obrazy o tematyce myśliwskiej. Ukazują barwną specyfikę obyczaju łowieckiego z całym arsenałem najrozmaitszych akcesoriów - strzelb, dubeltówek, rogów, pasów z nabojami - oraz z udziałem psów i koni.

J. Brandt malował krajobraz, uwypatniał piękno kniei lub pól, a przede wszystkim pełną zawadiackiego animuszu obyczajowość myśliwych. Do jego ulubionych motywów należały wyjazdy i powroty z polowań, myśliwi z psami czuwający na stanowisku, odpoczywający przed karczmą lub w lesie przy ognisku, zalecający się do wiejskich dziewcząt. Traktują o tym: „Rozmowa przy studni” (1884), „Przed polowaniem” (1886), „Polowanie”, „Stajenny z wierzchowcami” (1883).

Artysta zaskakuje widza nieoczekiwanymi efektami, śmiałymi skrótami perspektywicznymi. Wywoływał na płaszczyźnie płótna sugestywną iluzję pędu, ruchu i gwaru. Cudzoziemców



porywały barwną egzotyką, a w kraju przywoływały wspomnienia chlubnej przeszłości. Opowiadały o potęgę dawnej Rzeczypospolitej i porywającej sile sarmackiego temperamentu.

W czasie działań I wojny światowej Józef Brandt podupadł na zdrowiu. Przyczyniło się do tego ograbienie Orońska przez wojska niemieckie. W 1915 roku z rodziną został ewakuowany do Radomia i tutaj 12 czerwca umarł. Pochowano go na miejscowym cmentarzu.

W Orońsku, w dawnej posiadłości Józefa Brandta mieści się obecnie Centrum Rzeźby Polskiej. Z okazji obchodów setnej rocznicy śmierci artysty, została tutaj zorganizowana wystawa prac malarza, pochodzących z różnych kolekcji prywatnych, depozytów muzealnych i wypożyczeń, m. in. z Lwowskiej Galerii Sztuki. Ukazały się również biografia i album artysty zatytułowany „Między Monachium a Orońskiem”.

W dawnej posiadłości J. Brandta można podziwiać rozbudowany neorenesansowy pałac, wozownię, kuźnię i zmodernizowane stajnie końskie. Konie były też ulubionym motywem malarstwa artysty. Prowadził własną, liczącą około dwustu osobników hodowlę koni. Podpatrywał ich zachowanie, wykonywał liczne szkice, zdjęcia, które służyły mu do głębszych studiów przy malowaniu zjawiskowych scen. Ciekawe są wypowiedzi krytyków, którzy podkreślają związki J. Brandta z modnym wówczas orientalizmem - „Z zachodniego punktu widzenia Brandt mógł uchodzić za orientalistę. Prze-

prowadził przez swe płótna cały korowód wschodnich postaci, a także koni arabskich, koni stepowych.”

Najciekawsze spostrzeżenia na widok obrazów J. Brandta przedstawił Henryk Sienkiewicz, pisząc: „...przychodzą na myśl stare tradycje, stare pieśni i podania rycerskie, zaklęte w czar poezji! Brandt jest po prostu poetą stepowym, tak jak Goszczyński, Zaleski lub Słowacki w „Beniowskim”. Czasy zamarłe zmartwychwstają pod jego pędzlem, a na widok jednego epizodu mimo woli odtwarza się w duszy cały świat rycersko-kozacki.”

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk





Ku pamięci Żołnierzy Niezłomnych

Wyruszając samochodem przed południem 1 marca br. z Gdańska do Choczewa, rozglądałem się po ulicach z zachwytem. Objęcie Narodowego Dnia Żołnierzy Wyklętych patronatem przez prezydenta RP Andrzeja Dudę skutkowało i tym właśnie, że na instytucjach, domach, we wszystkich przeznaczonych do tego miejscach zawisły flagi narodowe. Poczułem się ważny i usatysfakcjonowany.

Ważny, bo jako pisarz książek o żołnierzach AK mogłem kolejny raz odczuć, że moje literackie wysiłki, że wieloletni trud ponoszony przez autorów książek o żołnierzach wyklętych, zostały docenione. Usatysfakcjonowany, gdyż z roku na rok - od czasu ustalenia w 2011 roku 1 marca świętem tych szczególnych bohaterów, patriotów niezłomnie do końca walczących o Polskę wyzwoloną spod panowania Sowietów - przywracając pamięć o nich rozszerza się wiedzę społeczeństwa o ich walce, losach i bohaterskich czynach. Że po raz pierwszy w moim kraju z tej okazji wywieszono flagi narodowe.

Piszę: „rozszerza się”, świadomie akcentując proces, jakiemu ulega przywracanie pamięci o żołnierzach wyklętych. Proces postępujący z roku na rok swoistego zainteresowania nimi nie tylko przez historyków i media,

ale także przez naszą młodzież chłonącą prawdziwej historii kraju.

W niedzielę 28 lutego br. uczestniczyłem w Gdańsku w II Krajowej (już drugiej - podkreślam) Defiladzie Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Robiłem zdjęcia, które potem z radością upubliczniłem na fb. Defilada poprzedzona uroczystą mszą świętą w bazylice św. Brygidy zgromadziła historyczne formacje zbrojne odtworzone przez Grupy Rekonstrukcji Historycznej wspierane przez środowiska związane z teatrem, muzeami i lokalnymi samorządami wielu ośrodków na terenie kraju. Zgromadziła też tłumy, które wyszły na ulice, by ją obejrzeć, ale - co szczególnie ważne - także po to, by oddać cześć żołnierzom niezłomnym - żołnierzom wyklętym.

Przyznam, że jako autor książek historycznych przeżywałem szczególną radość z tego, że ruch ten tak wspinał

się rozwija. Że tyle w nim patriotyzmu, tyle narodowych tradycji i piękna. Obserwuję ten proces od początku, brałem udział jako obserwator, ale i spotykający się w tym szczególnym czasie z czytelnikami pisarz: rok temu w Ustce, dwa lata temu w Koszalinie i Sławnie. Dzisiaj już nie zadaje się pytań: kim byli, co oznacza nazwa: żołnierze niezłomni, żołnierze wyklęci? Dzisiaj wie już o nich każdy, komu droga jest wolność, kto w swej rodzinie hołubi patriotyzm, kto otarł się o takie właśnie tradycje swych przodków, kto szanuje i pielęgnuje prawdę o naszej historii.

Wiemy też wszyscy o tym, że tak zawsze nie było, że niemal przez pół wieku poddania kraju w socjalistyczną niewolę ZSRR, historia milczała o nich. Szkoły, media, instytucje państwowe zakłamywały wiedzę o AK, nazywając ich bandytami, zapłutymi karłami reakcji, podziemiem zbroj-

nym reakcyjnego rządu. Milczało się o tym, że walczyli z partyzantką radziecką chroniąc na obszarach Wileńszczyzny polską ludność przed grabieżami i wojennym rozbojem, a na terenach Polski Południowej, Lwowa, Tarnopola osłaniając polskie wsie przed ukraińskimi nacjonalistami. Przypisywano im za to kłamliwie, że zamiast walczyć z Niemcami, stali z bronią u nogi, kolaborowali z faszystami.

Prawdziwą radość odczuwam także z tego, że po transformacji ustrojowej mogłem napisać kilka książek na tematy, które były wcześniej białymi plamami w naszej historii: o 5. Wileńskiej Brygadzie AK i jej legendarnym dowódcy „Łupaszce” i jego żołnierzach oraz o bohaterskim AK-owcu ze Lwowa kpt. Józefie Wojciechowskim, który po opublikowaniu wspomnień o nim otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Legnicy. Że mogłem upublicznić prawdę o sowieckich prześladowaniach żołnierzy wyklętych, prawdę o łagrach Workuty i Kołymy.

Zaraz po roku 1990 zaczęły powstawać publikacje historyczne o podziemiu zbrojnym, w tym m.in. bogata w dokumentację faktograficzną książka Kazimierza Krajewskiego i Tomasza Łabuszewskiego - „Łupaszka”, „Młot”, „Huzar” opisująca działalność w latach 1944 - 1952 5. i 6. Brygad Wileńskich. Brakowało jednak książek o okresie działań bojowych z czasów II wojny światowej, co powodował sojusz PRL ze Związkiem Radzieckim i pobyt wojsk sowieckich w Polsce.

Miałem to szczęście, że udało mi się dotrzeć do jednego z największych patriotów ówczesnych czasów - oficera AK 5. Wileńskiej Brygady kpt. Antoniego Rymszy ps. „Maks”. Dzięki czemu już w roku 1992 rozpocząłem publikowanie wojennej historii Brygady Śmierci dowodzonej przez legendarnego „Łupaszkę”. Podporucznik rezerwy Rymsza „Maks” był jego najwierniejszym żołnierzem i przyjacielem. „Maks” tworzył od podstaw tę brygadę wraz z ppor. Antonim Burzyńskim „Kmicicem”, którego potem w sierpniu 1943 roku podstępnie zamordowali Rosjanie (zbrodni dokonano po zaproszeniu AK-ców na sowiecką bazę - z okazji święta żołnierza polskiego. Wraz z „Kmicicem” zginęło wtedy 82 polskich partyzantów). Po śmierci „Kmicica”, ppor. rez. Antoni Rymsza pomagał przybyłemu z wileńskiego okręgu AK (od „gen. Wilka”) por. Zygmuntowi Szendzie-

larzowi „Łupaszce” scalić ponownie rozproszone resztki polskiej brygady, a potem, aż do końca jej funkcjonowania walczył „u jego boku Łupaszki”, biorąc udział we wszystkich najważniejszych przedsięwzięciach organizacyjnych i bojowych 5. Brygady AK.

Książka pt. „Opowiedział mi Maks - Aresztowanie, dapros, wojennyj sud”, którą już w latach 1992 - 1994 drukowano mi w odcinkach w prasie (Gazeta Legnicka) i którą czytałem w cotygodniowej audycji historycznej lokalnego Radia - Legnica, dobrze przełożyła się na współczesność. Posłużyła ona w roku 1996 do uznania i rehabilitacji „Łupaszki” przez Sąd Najwyższy w Warszawie. Kombatan-ci kierowani przez prof. Malinowskiego z Białegostoku otrzymali zgodę na odnowienie zapomnianego cmentarza poległych pod Worzianami żołnierzy 5. Brygady AK, ufundowano kilka tablic pamiątkowych, które umieszczono w kościołach (św. Brygidy w Gdańsku, we Wrocławiu, Prochowicach...) i w innych miejscach tradycji historycznych. Szkoła Podstawowa w Dąbiu k. Prochowic, gdzie po powrocie „Maksa” z łagrów żyli państwo Rymszowie, przyjęła imię Antoniego Rymszy „Maksa”, w Prochowicach nadano jego imię jednej z ulic i postawiono ku jego czci pomnik.

Niestety, po jej publikacji doszło do likwidacji sowieckiego więzienia Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej, z którego, wraz z grupą działaczy samorządowych z UW chcieliśmy zrobić muzeum pobytu wojsk sowieckich w Polsce. Ręcznie rozebrano go na cegłę, z której postawiono - dla wyciszenia sprawy - cerkiew prawosławną. Było to więzienie nazywane Katyniem Wschodu, w którym torturowano „Maksa” i z którego potem zesłano go wraz grupą innych więźniów, głównie AK-wców, na Kołymę.

Kolejne publikacje historyczne innych autorów, które później coraz obszerniej przywoływały historię związaną z działalnością żołnierzy niezłomnych, w tym moja książka „Maks i Aldona” (1995) opowiadająca o życiu i udręce żołnierzy „Łupaszki” na skutek prześladowań, sprawiły, że zaczęły odżywać patriotyczne więzi kombatan-tów. Najpierw pomiędzy sobą, dopóki mogli się jednoczyć w grupach przyjaciół, a z kolei z młodym pokoleniem. Te ostatnie kontakty z prozaicznej przyczyny bariery wieku i odchodzenia na wieczną war-

tę, niestety prawie już wygasły, nad czym boleję.

„Maks” i jego żona „Aldona” - wcześniej legendarna sanitariuszka i łączniczka 5. Brygady AK spotykały się każdego roku latem ze swoimi przyjaciółmi w kościele św. Brygidy w Gdańsku. Tu w Gdańsku w lipcu 1994 roku „Maks” zmarł.

Przemieszczając się z Gdańska do Choczewa wraz z małżonką Zofią, wspominaliśmy „Maksa”. Ten oficer, awansowany po wojnie przez rząd londyński do stopnia kapitana, po rozwiązaniu Armii Krajowej nie podjął dalszej walki. „Aldona” pod koniec wojny została jego żoną. „Łupaszka” zwolnił swoich przyjaciół z przysięgi, gdyż jako małżonków nie chciał narażać ich na dalsze niebezpieczeństwa. Gdy w styczniu 1945 roku znaleźli się po przeprawieniu przez Niemen na białostockczyźnie, jeszcze na krótko wspólnie z „Łupaszka” i „Lalą” rozważali dalsze losy żołnierzy 5. Brygady AK. „Decyzja z góry” o rozwiązaniu AK, zdecydowała jednak ostatecznie o wszystkim.

„Łupaszka” decydując się na dalszą walkę z komunistami, przemianował Armię Krajową w Armię Krajową Obywateli i postanowił walczyć do końca. Najpierw działał w rejonie Olsztyna, potem przeniósł się do Oliwy, gdzie wraz z Pohoreckim i Sulimą stworzył Wileński Okręg AK w Gdańsku. Ostatecznie, ścigany przez UB, trafił na Podhale i tam został aresztowany. W lutym 1951 roku wykonano na nim wyrok śmierci w więzieniu na Mokotowie.

Czym to się skończyło dla „Maksa”, któremu przyszło żyć, nie w takiej Polsce o jaką walczył, ale w takiej, jaką zafundowały nam układy ze Stalinem? - „Maks” i „Aldona” zmienili nazwisko z Rymszowie na Wojtkowscy, przyjaciele wyrobili im „lewe papiery” (dokumenty). AK-wców tropiono jednak wszędzie jak zwierzynę, NKWD i polska bezpieka deptała im cały czas po piętach. Sama zmiana nazwiska nie wystarczała, trzeba było gubić tropy, liczyć na to, że nie zostanie się rozpoznany przez kogoś, kto przeszedł na drugą stronę, a takich przypadków było wiele.

Najpierw Wojtkowscy próbowali szczęścia w Białymstoku, potem Lublinie... Do Warszawy, gdzie wydawało się, że „Maks” znalazł bezpieczne lokum, już „Aldona” przyjechała tylko na przysłowiową chwilę, by po uwolnieniu z więzienia ubeckiego we

Wronkach, do którego w stanie ciężarnym trafiła (co i tak nie uchroniło ją przed biciem i szykanami), powiadomić męża, że „chodziło im głównie o niego”. - Jeszcze tej samej doby uciekli do Gdańska.

W Gdańsku rodzina Wojtkowskich spędziła rok czasu. O szczególnych konieczności kolejnych przeprowadzek z Gdańska do Oliwy i Oruni piszę w książce „Żołnierze Łupaszki”. Kończąc ten historyczny wywód skupię się głównie na moim celu podróży do Choczewa związanym z Dniem Żołnierzy Wyklętych.

- Jakie piękne są te okolice Kaszub - wzdychała, obserwując okolice, moja małżonka. - Wyobrażam sobie

w obchodach tego szczególnego dla nich święta.

Proszę mi wierzyć: dla takich dni i takich przeżyć, warto pisać książki.

A pisarz książek historycznych nie ma łatwego życia. Wydałem ostatnio powieść, romantycznego współczesnego harlekina pt. „Wina nosi imię Ewy”. Napisałem ją przez jedną zimę. Siedząc w ciepłku, popijałem dobrą herbatę i wymyślałem wątki, sceny, dialogi, które mogą zainteresować czytelnika. Czerpałem tylko z własnych przeżyć, doświadczeń i... bogatej wyobraźni.

Gdy pisałem trylogię historyczną, to nie było „w kij dmuchał”. Żeby napisać unikatową już dzisiaj pozycję „Opowiedział mi Maks”, przez trzy

sta. - Padła propozycja druku w podległej drukarni. Czy, gdy wyjaśnię, że drukarnia ta posługiwała się jeszcze składem zecerskim przy pomocy pojedynczej ołowianej czcionki, powie to coś czytelnikowi?

Żywię ogromną wdzięczność dla zaprzyjaźnionego wówczas księdza proboszcza prałata Władysława Bochnaka, który też przyszedł mi z pomocą, znajdując osobę w Caritasie przygotowującą tekst do druku drugiej i trzeciej części trylogii na profesjonalnych dyskietkach pierwszego (niemieckiego) systemu komputerowego, jaki wtedy był już tam dostępny.

- To niezmiernie miłe widzieć, że trud pisarza nie poszedł na marne - mówię do żony. - Tak jak los chciał, lub jak „Opatrzność zrządziła” - w co wierzyli państwo Rymszowie - mogły się ukazać książki o bohaterskich żołnierzach niezłomnych, a teraz tobie ktoś mówi za to dziękuję. Chce ci pokazać, jak historia, którą upowszechniłeś, dociera do ludzi, jakie wrażenie robi na czytelniku, jak podchodzi do niej nasza cudowna młodzież.

Nota bene młodzież w małych miejscowościach, co zauważam od dawna, jest bardziej zaangażowana patriotycznie, chętniej sięga po historię rodziców i dziadków.

W Choczewie czekali na nas organizatorzy aktywnie zaangażowani w działalność stowarzyszenia, którego emblematy z podobiznami „Maksa” i „Aldony” zdobiły ich okazjonalne koszulki. Przed Zespołem Szkół w Choczewie gromadzili się liczni uczestnicy przygotowanej imprezy. Na parkingu ustawiła się kolumna pojazdów wojskowych „Militarnych Gniewno” oraz „Choczewo 4x4”, by po odśpiewaniu hymnu 5. Brygady AK odbyć uroczystą paradę przejazdu ulicami miasteczka.

W dużej auli Zespołu Szkół było tłoczno, wszystkie miejsca wypełnione były po brzegi. Wszyscy z niepokojem czekali na wystawienie przez „Teatr pod wieżą” z Gniewna sztuki teatralnej „Maks i Aldona”, opartej o profesjonalny scenariusz - opracowany na podstawie trylogii akowskiej mojego skromnego autorstwa - przez panią dyrektora teatru Wiolettę Majer-Szreder.

Zaangażowanie emocjonalnie i niemal profesjonalna gra młodych aktorów zasługiwały na najwyższe uznanie, którego po premierze nie omieszkalem publicznie wyrazić. Spotkanie autorskie z udziałem przybyłych gości: rodziny państwa Rymszów przy-



„Maksa” przemykającego tymi leśnymi drogami, który jesienią w roku 1946 podążał w kierunku Choczewa.

Na wieść że wśród partyzantów, których ukrywali w swoim mieszkaniu w Gdańsku jest taki ktoś, który teraz „spie”, rodzina Wojtkowskich postanowiła po raz kolejny zmienić lokum, i zaszyć się w głuszy tutejszych lasów.

W Choczewie tamtejsze Stowarzyszenie im. Kpt. Antoniego Rymszy ps. „Maks”, które powstało trzy lata temu, przygotowało z okazji Narodowego Dnia Żołnierzy Wyklętych bogatą w wydarzenia uroczystość, na którą zaproszony zostałem wraz z małżonką jako... pisarz - gość honorowy.

Stowarzyszeniu przewodniczył Wiesław Bobkowski, którego wcześniej poznałem na fb. Pan Wiesław nalegał, by koniecznie w tym dniu odwiedzić Choczewo i wziąć udział

lata w każdą niemal sobotę spędzałem po kilka długich godzin z moimi rozmówcami (bohaterami). Nagrywając rozmowy na taśmę magnetofonową, poświęciłem na to około 60 godzinnych kaset. Potem w tygodniu wykorzystując każdą wolną chwilę, przesłuchiwałem taśmy i relacje te przenosiłem na papier, układając chronologicznie, by niczego nie poplątać, nie spłycić, o niczym nie zapomnieć.

Zapisałem prawie tysiąc kartek formatu A4: tak powstał rękopis. To były - przypomnę - lata 1991 - 1994. Nikt jeszcze w kraju z komputera nie korzystał. Maszynopis powstawał po nocach na maszynie walizkowej, którą nosiłem jak dzisiaj laptopa ze sobą; z pracy do domu i odwrotnie.

Pierwszy maszynopis zanieśli do gazety. Druk kolejnych odcinków w prasie wywołał duże zainteresowanie: radia, władz samorządowych mia-

byłych aż z Piły, wilebnych księży proboszczów z Gartkowic i Choczewa Roberta Mayera i Wojciecha Szmeichela, starosty Wejherowa, wójta i innych zacnych osób przeciągnęło się do ponad dwóch godzin. Duch historii unosił się nad salą, serca uczestników wypełniała duma z lokalnych bohaterów i duma z czynnego uczestnictwa w bogato oprawionej lekcji historii o żołnierzach wyklętych.

Pozostała jeszcze nam wycieczka. Organizator zadbał, bym zobaczył miejsca, o których pisałem w swoich książkach. „Maks”, kończąc swoje poszukiwania bezpiecznego kąta na ziemi, dotarł właśnie tam, do okolic Choczewa. Po pokonaniu pewnych trudności ze znalezieniem pracy, najpierw do majątku ziemskiego w Lubiewie Lęborskim, a następnie - już z całą rodziną: żoną Aldoną i synkiem Wiesiem - do Osieków Lęborskich. W tych ostatnich, gdy już wszystkim wydawało się, że będą mogli wreszcie spokojnie żyć jak inni ludzie, gdzie poczuli się szczęśliwi, w końcu lipca 1948 roku „Maks” został aresztowany przez funkcjonariuszy MO z choczewskiego posterunku, przekazany do Lęborka, następnie do siedziby Wywiadu Marynarki Wojennej w Gdyni, a później oddany sowietom w Warszawie i przewieziony do legnickiego więzienia PGW AR, gdzie po niemal rocznych torturach skazano go na 125 lat więzienia i karę śmierci, zamienione następnie przez Stalina na 25 lat pobytu w łagrach Kołomy.

Zapewne sam finał byłby inny i los rodziny „Maksa” i „Aldony” Rymszów potoczyłby się inaczej, szczęśliwiej, gdyby nie oszukańcza amnestia rządu Osóbki-Morawskiego, podyktowana przez Sowietów w celu wyłapania AK-wców i ostatecznego rozprawienia się z nimi za okres wojny, w którym z takim uporem i poświęceniem bronił przed nimi swojej ojczyzny.

Pisząc ten materiał historyczny, i przeżywając ponownie dramat bohaterów swoich książek, pragnę na koniec i ja, pisarz - gość honorowy złożyć hołd wszystkim żołnierzom wyklętym, pokłonić się nisko za ich walkę do końca, za walkę żołnierzy niezłomnych.

Jan Stanisław Smalewski
Naćmierz

Fot. M. Brenn / flickr.com



Jak podróżować

To, co w potocznym języku nazywamy wycieczką, w prawie określone jest jako impreza turystyczna. W jej skład wchodzi co najmniej dwie usługi z jednolitym programem, objęte wspólną ceną; muszą one obejmować nocleg lub trwać ponad 24 godziny albo mieć w programie zmianę miejsca pobytu.

Usługą turystyczną mogą być: usługi przewodnickie, usługi hotelarskie i wszystkie inne usługi świadczone turystom lub odwiedzającym. Stroną umowy o imprezę turystyczną jest klient. Może nim być osoba, która zamierza, lub już zawarła umowę o imprezę turystyczną, albo też osoba, na rzecz której umowa została zawarta lub której przekazano prawo do korzystania z usług turystycznych. Z doświadczeń Stowarzyszenia Konsumentów Polskich wynika bowiem, iż takie transakcje przysparzają problemów konsumentom. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy klient decyduje się zawrzeć umowę z niesprawdzonym przedsiębiorcą, albo też nadmiernie zaufa zapewnieniom, które padają w trakcie prezentowania oferty. Definicja imprezy turystycznej zawarta jest w ustawie z 29 sierpnia 1997 r. o usługach turystycznych (tekst jednolity Dz. U. z 2004 r. Nr 223, poz. 2268).

Jak sprawdzić wiarygodność biura podróży?

Zanim konsument skorzysta z usług biura podróży, powinien dla własnego bezpieczeństwa sprawdzić swego kontrahenta. Może w tym celu sięgnąć do oficjalnych rejestrów. Powinien również zapoznać się z opiniami osób, które były klientami danego biura podróży. Wykonanie tych dwóch czynności może bowiem uchronić przed zawarciem umowy z nierzetelną firmą.

Biuro podróży w oficjalnych rejestrach

Działalność gospodarcza w zakresie organizowania imprez turystycznych oraz pośredniczenia na zlecenie klientów w zawieraniu umów o świadczenie usług turystycznych jest działalnością regulowaną w rozumieniu przepisów ustawy z 2 lipca

2004 r. o swobodzie działalności gospodarczej i wymaga uzyskania wpisu w rejestrze organizatorów turystyki i pośredników turystycznych. Konsument, który zamierza zawrzeć umowę z biurem podróży powinien więc przede wszystkim sprawdzić, czy jest ono wpisane do rejestru i na jaką sumę zostało ubezpieczone. Może to uczynić nie wychodząc z domu poprzez skorzystanie z dostępu do Centralnej Ewidencji Organizatorów Turystyki i Pośredników Turystycznych. Znajdzie ją na stronie internetowej Ministerstwa Sportu i Turystyki: www.turystyka.gov.pl. Jeśli w rejestrze tym brak jest informacji o danym biurze podróży, to rozsądnym byłoby powstrzymanie się od zawarcia umowy. Biura podróży kuszą wspaniałymi ofertami. Często jednak okazuje się, że cena wycieczki zmienia się jeszcze przed wylotem, hotel wygląda lepiej w folderze niż w rzeczywistości, a do plaży, która miała być blisko, są trzy kilometry. Jak ustrzec się przed takimi niespodziankami?

Opinie o biurze podróży

Użytecznym źródłem informacji o przedsiębiorcy są opinie klientów, którzy już skorzystali z jego usług. Idealnie, jeśli są to osoby, które konsument zna i na których zdaniu może polegać. Często jednak jedynymi opiniami, z którymi dane jest mu się zapoznać, są anonimowe wypowiedzi internautów. W takim przypadku powinien podchodzić do nich z rozwagą. Mogą to być bowiem zarówno opinie prawdziwych klientów, ale również negatywne wpisy konkurencyjnych firm, mających na celu zdyskredytowanie danego przedsiębiorcy, czy też pozytywne komentarze wstawione przez pracowników biura podróży. Ostrzeżeniem dla konsumenta powinny być zarówno same negatywne komentarze, ale również przeciwnie - opinie tylko pozytywne.

Foldery, broszury, katalogi

Jednak nie tylko opinie byłych klientów biura determinują decyzje konsumenta. Wpływ na nie mają również informacje przedstawiane przez biuro podróży w broszurach, katalogach lub folderach reklamowych. Warto wiedzieć, iż treści w nich prezentowane, są ściśle regulowane przez prawo. Zgodnie z art. 12 ustawy

o usługach turystycznych biuro podróży udostępniając konsumentowi informacje pisemne, powinno wskazać w nich w sposób dokładny i zrozumiały: cenę imprezy lub usługi turystycznej albo sposób jej ustalenia; miejsce pobytu lub trasę imprezy; rodzaj, klasę, kategorię lub charakterystykę środka transportu; położenie, rodzaj i kategorię obiektu zakwaterowania, według przepisów kraju pobytu; ilość i rodzaj posiłków; program zwiedzania i atrakcji turystycznych; kwotę lub procentowy udział zaliczki w cenie imprezy lub usługi turystycznej oraz termin zapłaty całej ceny; termin powiadomienia klienta na

Informacje te nie mogą wprowadzać klienta w błąd. Poza folderami i katalogami konsument powinien również uważnie przestudiować samą umowę. Jeśli bowiem wynika z niej coś innego niż zostało zaprezentowane w broszurze, to wiążące są postanowienia umowne. Powoływanie się w takim przypadku na informacje zawarte w katalogu nie zostanie uwzględnione.

Umowa o imprezę turystyczną

Umowa o świadczenie usług turystycznych polegających na organi-



Fot. M. Brenn / flickr.com

piśmie o ewentualnym odwołaniu imprezy lub usługi turystycznej z powodu niewystarczającej liczby zgłoszeń, jeżeli realizacja usług jest uzależniona od liczby zgłoszeń; podstawy prawne umowy i konsekwencje prawne z niej wynikające; ogólne informacje o obowiązujących przepisach paszportowych, wizowych i sanitarnych oraz o wymaganiach zdrowotnych dotyczących udziału w imprezie.

zowaniu imprez turystycznych wymaga formy pisemnej. Powinna określać: dane organizatora turystyki, miejsce pobytu lub trasę wycieczki, czas trwania imprezy, program, cenę, sposób zapłaty, rodzaj i zakres ubezpieczenia turystów oraz nazwę i adres ubezpieczyciela, termin na powiadomienie klienta o ewentualnym odwołaniu imprezy, sposób zgłaszania reklamacji, wymagania specjalne, o których

klient powiadomił organizatora turystyki lub pośrednika turystycznego i na które strony umowy wyraziły zgodę, podstawy prawne umowy i konsekwencje prawne z niej wynikające.

Konsument przed zawarciem umowy powinien bezwzględnie zapoznać się z jej warunkami. Z doświadczeń Stowarzyszenia Konsumentów Polskich wynika jednak, iż klienci bardzo często rezygnują z tej czynności, zawierając zapewnieniom ustnym pracownika biura podróży lub treści katalogów przez niego przedstawianych. Niestety, takie postępowanie prowadzi do kłopotów. W razie sporu, poszkodowanemu turystcie

blisko”. Wyjaśnienie tych pojęć jeszcze podczas zawierania umowy pozwala często uniknąć przykrych niespodzianek po przyjeździe na miejsce wypoczynku.

Zmiana umowy

Zdarza się, iż jeszcze przed rozpoczęciem imprezy organizator turystyki jest zmuszony, z przyczyn od siebie niezależnych, zmienić istotne warunki umowy. Chodzi tu na przykład o zmianę miejsca pobytu lub trasę wycieczki, albo też programu imprezy. W takim przypadku, zgodnie z prawem, ma on obowiązek niezwłocznie powiadomić klienta o takiej zmianie. Sam klient ma wybór - może albo przyjąć proponowaną zmianę albo odstąpić od umowy. Gdyby zdecydował się na tę drugą opcję, biuro podróży powinno zwrócić mu wszystkie wniesione opłaty. Nie ma też prawa naliczenia kary umownej za zerwanie umowy.

Warto wiedzieć, że innym wyjściem w sytuacji, gdy biuro podróży zmienia umowę, jest wybranie innego wyjazdu z katalogu biura (w tym samym lub innym standardzie). Zgodnie z art. 14 ust. 6 punkt 1 ustawy o usługach turystycznych klient ma do tego prawo. Jest to jednak przywilej i biuro nie może wymusić takiego działania. Zmianie może ulec również cena imprezy. Nie zawsze jednak biuro podróży będzie mogło ją podwyższyć. Będzie to możliwe tylko wtedy, gdy umowa wyraźnie przewiduje taką okoliczność. Dodatkowo organizator turystyki musi udokumentować wpływ na podwyższenie ceny jednej z następujących okoliczności: wzrostu kosztów transportu; wzrostu opłat urzędowych, podatków lub opłat należnych za takie usługi, jak lotniskowe, załadunkowe lub przeładunkowe w portach morskich i lotniczych; wzrostu kursów walut.

Samo stwierdzenie organizatora turystyki, iż wzrosły koszty transportu (np. cena paliwa) nie wystarczy więc, by mógł się on domagać dopłaty do pierwotnie ustalonej ceny wycieczki. W okresie 20 dni przed datą wyjazdu cena ustalona w umowie nie może być podwyższona. Jeśli podwyższenie ceny imprezy turystycznej powoduje, iż oferta przestała być dla klienta atrakcyjna, to ma on prawo odstąpić od umowy. W takim przypadku biuro również ma obowiązek

zwrócić wszystkie wpłacone środki i nie ma prawa naliczyć kary umownej.

Niewykonywanie umowy

Innym problemem, z którym stają się osoby korzystające z usług biur podróży, jest niewykonywanie usług, które były przewidziane w umowie, a które stanowią istotną część programu imprezy. Chodzi tu na przykład o sytuację, gdy hotel nie spełnia warunków określonych w umowie. Warto wiedzieć, iż w takim przypadku zgodnie z przepisami biuro podróży ma obowiązek zaproponować klientowi odpowiednie świadczenia zastępcze. Nie ma jednak prawa z tego powodu obciążać klienta dodatkowymi kosztami. Co ważne, konsument nie ma obowiązku godzić się na zaproponowane świadczenie zastępcze. Może odmówić przyjęcia nowych warunków i odstąpić od umowy. Powinien jednak uzasadnić swoją decyzję i wskazać powody, które spowodowały jej podjęcie. W takim przypadku organizator wycieczki ma obowiązek zapewnić klientowi powrót do miejsca rozpoczęcia imprezy lub innego uzgodnionego miejsca w warunkach nie gorszych niż określone w umowie. Nie może też z tego tytułu obciążyć klienta kosztami.

Reklamacja nieudanych wakacji

Jeśli w trakcie wycieczki konsument stwierdza wadliwe wykonywanie umowy, powinien niezwłocznie powiadomić o tym wykonawcę usługi oraz organizatora turystyki. Informacje, w jaki sposób to uczynić, powinny być zawarte w samej umowie. Warto więc, wybierając się na wycieczkę z biurem podróży, zabrać oprócz ubrań i kremu do opalania również dokument samej umowy. W razie jakichkolwiek kłopotów, to właśnie z niej dowiemy się, w jakim terminie i kogo należy poinformować o wadliwym jej wykonywaniu. Niezależnie od tego konsument ma prawo złożyć reklamację. Powinien to uczynić nie później niż w ciągu 30 dni od zakończenia imprezy. W piśmie reklamacyjnym należy wskazać uchybienia w wykonaniu umowy. Na przykład w umowie organizator zapewniał, iż na miejscu będzie dostęp do sauny, a takiej w ogóle nie było. Konsument powinien też określić swoje żądania, tj. wskazać,

niezmiernie trudno jest wykazać iż, określone zapewnienia rzeczywiście padły. W takim przypadku decydujące znaczenie będzie miała treść zawartej umowy.

Warto więc czytać umowy i w razie wątpliwości pytać, co oznaczają dane postanowienia w niej zawarte. Konsument powinien zwrócić szczególną uwagę na sformułowania nieostre, takie jak np. „plaża znajduje się

jakie odszkodowanie wynagrodzi mu szkody poniesione w związku z niewykonaniem lub nienależytym wykonaniem umowy przez biuro.

W szacowaniu wysokości odszkodowania może pomóc tzw. tabela frankfurcka. Jej treść można znaleźć na stronie UOKiK: www.konsument.gov.pl/files/t_frankfurcka.pdf. Warto jednak wiedzieć, iż jest to dokument, który nie ma oficjalnej mocy prawnej. Oznacza to, iż sam fakt, iż w tabeli określono rekompensatę na poziomie kilku, czy kilkunastu procent ceny wycieczki za dane uchybienie nie oznacza jeszcze, iż dokładnie taką sumę klient uzyska. W zależności od przedstawionej argumentacji może bowiem otrzymać zarówno niższą, jak i wyższą kwotę. Co ważne, jeśli biuro podróży nie ustosunkuje się do reklamacji w terminie 30 dni od jej złożenia, to uważa się, iż uznało ją za uzasadnioną. Jeśli klient złożył pismo reklamacyjne jeszcze w trakcie trwania wycieczki 30-dniowy termin na jego rozpatrzenie biegnie od dnia zakończenia imprezy.

Odpowiedź na reklamację powinna być udzielona na piśmie. Jeśli biuro odmawia jej uwzględnienia, to ma obowiązek szczegółowo wyjaśnić przyczyny takiej decyzji.

Kiedy biuro odpowiada?

Co do zasady, organizator turystyki odpowiada za niewykonanie lub nienależyte wykonanie umowy o świadczenie usług turystycznych. Od tej zasady są trzy wyjątki. Biuro podróży może bowiem odmówić wypłaty odszkodowania, gdy niewykonanie lub nienależyte wykonanie umowy jest spowodowane wyłącznie: działaniem lub zaniechaniem klienta; działaniem lub zaniechaniem osób trzecich, nieuczestniczących w wykonywaniu usług przewidzianych w umowie, jeżeli tych działań lub zaniechań nie można było przewidzieć ani uniknąć; siłą wyższą. Nawet jednak wtedy, gdy znajdą powyższe okoliczności biuro ma obowiązek udzielić pomocy poszkodowanemu klientowi.

Marek Kurowski
Powiatowy Rzecznik
Konsumentów

Aktywnie na wiosnę!

Nadeszła wiosna. Jak co roku siłownie, sale fitness oraz sklepy ze sprzętem sportowym przeżywają prawdziwe obłężenie.



Fot. J. Maziejuk

Wystarczyło zaledwie parę cieplejszych dni, by miłośnicy rowerowych wycieczek wyciągnęli sprzęt i ruszyli w trasy, a zwolennicy modnych od kilku sezonów kijków nornic walking zatłoczyli miejskie chodniki i leśne ścieżki. W dzisiejszych czasach, przy zabieganym trybie życia i niedbałym sposobie odżywiania sport powinien stanowić nieodłączny element dnia, a o dobroczynnym wpływie aktywności fizycznej na nasz organizm nie trzeba chyba nikogo przekonywać.

Powiatowe Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku wyszło na przeciw oczekiwaniom klientów. Kto chce spróbować marszu z kijami nordic walking nie musi specjalnie kupować sprzętu. Słupskie Centrum Edukacji Regionalnej mieszczące się przy ulicy Szarych Szeregów 14 wypożyczy je na kilka godzin lub na cały weekend. W swojej ofercie posiada czternaście par wysokiej jakości kijków, dzięki którym każdy odkryje tajniki tej fantastycznej dyscypliny, która z roku na rok staje się coraz bardziej popularna i zdobywa coraz większe grono zwolenników.

Nordic walking to dyscyplina dla każdego, bez względu na wiek, płeć

czy zainteresowania. Jest to rodzaj sportu, który nie wymaga dużego obciążania organizmu i dlatego jest tak lubiany, szczególnie przez osoby starsze. Wiele osobom zapewne wydaje się, że jest to tylko zwykłe i bezproduktywne „machanie” kijkami. Otóż nie! Spacer z kijkami to skuteczny trening zarówno dla dolnych, jak i górnych partii ciała. Dlatego ważne jest, aby najpierw opanować technikę. Chodzenie z kijkami także doskonale odciąża stawy, a jeśli chodzi o zaangażowanie mięśni, jest dużo skuteczniejsze od zwykłego marszu.

Dzięki użyciu kijków uruchamiamy obręcz barkową i spory ciężar ciała „nosimy” na rękach. Oprócz tego wzmacniamy kręgosłup i mięśnie grzbietu. Ten rodzaj sportu jest także doskonałą alternatywą dla rodzin do wspólnego, a co najważniejsze, aktywnego i zdrowego spędzania wolnego czasu. Do połączenia przyjemnego z pożytecznym! Warto zatem odstawić auto, odejść od telewizora i obudzić się z zimowego letargu na rzecz aktywności na świeżym, wiosennym powietrzu, aby latem móc pochwalić się piękną i smukłą sylwetką oraz doskonałą kondycją!

Justyna Biłska, Słupsk



XLVII WIOSENNE TARGI OGRODNICZE

SŁUPSK, KWIECIEŃ 2016



